Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 39

Rodzina generała Bema

O pochodzeniu generała Bema do niedawna jeszcze szczupłe stosunkowo mieliśmy wiadomości. Zainteresowanie tą kwestją obudziło się dopiero w początkach bieżącego wieku, — a podstawowym niejako materjałem genealogicznym stało się wydane w roku 1925 przez Ossolineum dzieło „Generał Józef Bem", którego autorem był Włodimierz Bem de Cosban.

Daty zawarte w tem dziele przejęte zostały przez Galicza w jego monografji o generale, — oraz przez Encyklopedję „Ultima Thule".

Wedle wspomnianego na wstępie dzieła rodzina gen. Bema wywodzi się ze szlachty pomorskiej, której jedna gałąź przyjęła w wieku XV. patrycjat gdański, zaś w wieku XVI. otrzymała indygenat polski.

Z tej to rodziny pochodził Jan Bem, namiestnik polskiej husarji, który zginął pod Beresteczkiem w roku 1651. Syn tegoż, Fryderyk Wacław, zawołany kondotjer, poślubił kuzynkę swą, hr. de Thamasi - Cosban, właścicielkę zamku i dużego majątku na Węgrzech.

Fryderyk Wacław hr. Bem. de Cosban pozostawił syna Jakóba, ożenionego z hr. Esterhazy. Synem tego ostatniego był Józef, łowczy inflancki, protoplasta rodziny Bemów w Polsce. Pozatem miał Fryderyk Wacław syna z drugiego małżeństwa, imieniem Chrystjana, który sprzeniewierzywszy się ślubom zakonnym zbiegł do Lwowa i tam uzyskał później obywatelstwo miejskie.

Synem Chrystjana był Adalbert, ławnik lwowski, ożeniony z Joanną Venino, córką patrycjusza lwowskiego. Tenże Adalbert zaadoptował nieślubnego syna wspomnianego wyżej Józefa Bema, łowczego inflanckiego, — Andrzeja. W zamian za to Józef Bem zobowiązał się, że mu dopomoże w restytuowaniu szlachectwa, które zostało „zaniedbane" przez Chrystjana Bema, co też faktycznie nastąpiło w roku 1803

Generał Bem był właśnie synem owego Andrzeja, adwokata w Tarnowie i Krakowie, ożenionego z Agnieszką Gołuchowską.

* * *

Genealogję powyższą prostuje w zasadniczych punktach **Zygmunt Lasocki** w wydanej świeżo broszurze **„Rodzina generała Bema"** (odbitka z „Miesięcznika Heraldycznego", rok 13 nr. 7--8).

Na wstępie zwraca on uwagę, że nazwisko Böhm — rozmaitej pisowni: Boem. Behm, Behem, Bem itp. — było bardzo pospolite we wszystkich krajach sąsiadujących z Czechami. Mieszczanie niemieccy nadawali tę nazwę wielu przybyszom z Czech, a w Polsce niemal w każdem większem mieście można je było spotkać. Rodziny Behmów nie były ze sobą spokrewnione, a łączyło je tylko wspólne pochodzenie z Czech i nazwisko nadawane im z racji tego właśnie pochodzenia.

Czy rodzina generała pochodziła z tego samego pnia, co hrabiowie Bem de Cosban, — niepodobna dziś stwierdzić z całą pewnością dla braku drzewa genealogicznego. Istniejące zaś w tym kierunku dokumenty określa Lasocki jako „jaskrawe falsyfikaty".

W pracy swej opiera się Lasocki na aktach miejskich m. Lwowa. Pierwszą wzmiankę o Bemach spotykamy w roku 1709, kiedy to otrzymuje obywatelstwo lwowskie siodlarz, Chrystjan Behm, syn sławetnego Kacpra Behma, mieszczanina ze Świdnicy na Śląsku.

Tenże Chrystjan zaślubia w następnym roku Małgorzatę Essównę (czy Hiesównę, jak zapisano w metryce ślubów katedry lwowskiej).

Umierając pozostawia córkę Teresę oraz trzech synów Wojciecha, Ignacego i Wawrzyńca. Ten ostatni wstąpił do klasztoru Karmelitów we Lwowie, podczas gdy Ignacy, był tak jak i ojciec, majstrem siodlarskim i ławnikiem miejskim.

Najstarszy Wojciech, rajca miejski, konsyljarz i aptekarz Jego królewskiej Mości, poślubił Joannę Venino, z którą miał siedmioro dzieci: 4 córki oraz trzech synów: Jana, Jakóba i Andrzeja.

Lasocki przeczy stanowczo, jakoby ten ostatni był nieślubnem dzieckiem określając odnośną zapiskę w księdze chrztów katedry lwowskiej, jako oczywisty falsyfikat z nowszych już czasów.

O Janie niema żadnych ciekawych danych. Drugi z rzędu, Jakób był osobistością wybitną: najpierw kanonikiem katedralnym lwowskim, następnie opatem żółkiewskim, prepozytem kapituły lwowskiej i członkiem stanów galicyjskich. Pozostawił duży majątek, zapisując znaczne sumy na rzecz swej rodziny i na cele społeczne i humanitarne.

Najmłodszy wreszcie, Andrzej przenosi się ze Lwowa do Tarnowa, gdzie też przychodzi na świat i zostaje ochrzczony dnia 14 marca 1794 syn jego, Zacharjasz Józef, późniejszy generał.

Jak z powyższego wynika, był generał Bem potomkiem starej mieszczańskiej rodziny, której członkowie zajmowali w drugiej połowie ośmnastego wieku wcale wybitne stanowiska we Lwowie.

* * *

Pozostawał aby jeszcze do wyjaśnienia kwestja restytuowania Andrzeja Bema i jego braci do stanu szlacheckiego, łączona w dawniejszych monografjach z nazwiskiem Józefa Bema de Cosban „protoplasty rodziny Bemów de Cosban w Polsce.

Faktem jest, że w roku 1801 wzmiankowany powyżej kanonik ks. Jakób Bem wniósł imieniem własnem i swych braci prośbę do cesar. kancelarji nadwornej o przywrócenie ich do stanu szlacheckiego i prośba ta została przychylnie załatwiona.

Do prośby tej dołączone było poświadczenie byłego radcy apelacji Wincentego Bem de Cosban, syna właśnie owego Józefa, łowczego inflanckiego, — poświadczenie, stwierdzające, że suplikanci pochodzą z tej samej co i on, szlacheckiej rodziny.

Czy tak było rzeczywiście, czy też poświadczenie to wystawił im tylko z grzeczności, dla ułatwienia im uzyskania szlachectwa, — tego dziś stwierdzić nie można.

W każdym jednak razie drzewo genealogiczne, zestawione przez Lasockiego na podstawie stojącego mu do dyspozycji, autentycznego materjału, każe nam bardzo krytycznie odnosić się do monografji o generale Bemie, napisanej przez Włodzimierza Bema de Cosban, oraz do dalszych prac, na tym właśnie materjale opartych.

(kr.).



Generał Bem w mundurze węgierskim

Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej

(W 25-lecie zasłużonej placówki)

POWSTANIE MUZEUM

Narodowe Muzeum Ziemi Przemyskiej, zajmuje jedno z najbardziej czołowych miejsc, wśród muzeum regjonalnych w Polsce. Kto dziś spojrzy na budynek przy ul. Kmity, w którym teraz muzeum się mieści, ten tylko z trudnością da temu wiarę, że jeszcze w roku 1919 placówka ta, razem z całym inwentarzem mieściła się w jednej szafie, a dopiero pod koniec tego roku, w dwu nader skromnych pokoikach przy ul. Fredry. Początek muzeum jest nieco romantyczny. Jeszcze w roku 1897, w ręce późniejszego twórcy muzeum inż. Kazimierza Osińskiego wpadł wydobyty z Sanu amulet sekty ofistów (VI po Chrystusie) wykonany z heljotropu. Z jednej strony zawierał amulet zaklęcie („Błogosławieństwo dla noszącego") i wizerunek Matki Boskiej, a ze strony drugiej różne napisy w języku greckim. Niedługo potem drugi z braci Osińskich znalazł w Sanie przedhistoryczny nożyk krzemienny i to właśnie było dla nich zachętą dla zapoczątkowania zbiórki. W roku 1909 zorganizowali p. p. Feliks Przyjemski, ś. p. Dr. Leonard Tarnawski i inż. Kazimierz Osiński Towarzystwo Przyjaciół Nauk (T. P. N.), które u początku swojej działalności powołało właśnie do życia mu-

zeum. Było ono jednak bardzo skromne i jak powiedzieliśmy z jednej dużej szafy zostało przeniesione do dwu ubikacyj przy ul. Fredry, a w kilka lat potem do czterech rozległych pokojów przy ul. Grodzickiej.

ZBIORY PROF. DWORSKIEGO

Stało się to jednak dopiero potrzebnem, kiedy muzeum zdołało zdobyć bezcenne zbiory prof. Alfreda Dworskiego. Archeolog z zamiłowania rozkopywał prof. Dworski starożytne kopce w okolicach Przeworska i Łańcuta i z nich właśnie udało mu się wydobyć 89 urn z popiołami wojowników, oraz przedmioty wojenne, a także ozdoby kobiece z okresu zupełnie zamierzchłego. W jednym z kopców znalazł prof. Dworski olbrzymią urnę, służącą do przechowywania zboża. Jest to największa urna z posiadanych przez polskie muzea. Zbiory prof. Dworskiego nie doszły jednak do Przemyśla zbyt łatwo. Miał je jeden z archeologów zabrać dla którejś z uczelni wyższych i prof. Dworski dopiero po przezwyciężeniu ogromnych przeszkód, mógł je umieścić w osobnej sali instytucji przemyskiej.

PRZEŁOM W ROZWOJU MUZEUM

Rok 1924 stanowi w istnieniu Narodowego Muzeum Ziemi Przemyskiej ogromny krok naprzód. Dzięki zrozumieniu ważności placówki kulturalnej, przez pierwszego prezydenta Przemyśla ś. p. Józefa Kostrzewskiego, zarząd otrzymał od miasta stałą dotację, która pozwala opłacać cały, wynajęty dla muzeum budynek, oraz urzędnika opiekującego się zbiorami. Obecnie kończą się pertraktacje, których prawdopodobnym rezultatem będzie otrzymanie na pomieszczenie muzeum połowy dużego budynku poszpitalnego przy ul. Władycze. Adaptacja tego budynku kosz-



Wejście do Muzeum

tować jednak ma około 50.000 zł. i tutaj z pomocą materjalną musi muzeum pośpieszyć społeczeństwo. Ten sam obowiązek spada zresztą na przemyski magistrat i instytucje państwowe. Skoro „ukraińcy" mają swoje muzeum nawet w takim Jaworowie, to Polacy przemyscy wszystko winni uczynić, aby swoją dumą i wysiłkiem jednostek powołaną do życia placówkę, postawić na jak najwyższym poziomie. Nie zaszkodzi dodać, że Kraków preliminuje na swoje muzeum 11 miljonów złotych, Stanisławów pół miljona, a mniejszy od Przemyśla Tarnów, poświęcił na ten cel stary budynek poratuszowy.

ZAWARTOŚĆ PRZEMYSKIEGO MUZEUM

Posiada ono działy: historyczny, naukowy i archeologiczny. Każdy z tych działów dzieli się na liczne i bogate w zbiory, grupy. Eksponatów jest tak dużo, że brak miejsca nie pozwala nam nawet na wyliczenie najważniejszych. Przejdźmy je zatem ogólnie.

Dział historyczny. Znajdziemy tu wzory przemysłu artystycznego, stylowe meble, starą porcelanę, sprzęty po starych rodach z dworków dawnej Ziemi Przeworskiej, latarnie i klawikordy.

Grupa pamiątek zawiera emblematy i dokumenty, widoki starego Przemyśla, zabytki cechowe, oraz różne pamiątki po przemyskich rodzinach mieszczańskich. W dziale tym znajduje się również dużo zabytków **sztuki kościelnej.** Mamy tu więc reprezentowane wszystkie style od gotyku do empiru, rzeźby, obrazy, szaty liturgiczne i wyroby z bronzu. Najwięcej wartościowych eksponatów ofiarował do tego działu inż. Stanisław Till.



Zbiory archeologiczne w sali im. prof. A. Dworskiego.

Grupa obrazów i rzeźb, bardzo bogata posiada rzeźby prof. Józefa Wilka i Józefa Wesołowskiego, oraz obrazy wszystkich przemyskich malarzy jak Studnickich, Strońskiego, Artusińskiej, Zobokrzyskiej i in. Wątpliwości jednak budzi umieszczenie w tym dziale prac żydowskich malarzy z Przemyśla. W narodowem muzeum polskiem, eksponaty te nie powinne mieć miejsca. Kończy dział naukowy grupa numizmatyczna, zawierająca medale, stare monety, pieczęcie, pamiątki z powstań polskich, Wielkiej Wojny, oblężeń Przemyśla.

Dział naukowy. Mamy tu **grupę paleontologiczną.** Widzi się w muzeum kości i zęby mamutów, rogi jelenia dyluwjalnego, oraz amonity i ślimaki z najdalszych epok geologicznych. W **grupie antropologicznej** najbardziej charakterystyczne są czaszki z wykrojonemi przez ludożerców kośćmi czołowemi. Widzimy tu dalej czaszki i szkielety szczepów tubylczych i najeźdźcowych.

Ostatnim jest w muzeum **dział archeologiczny.** Poprzez prymitywy z epoki dyluwjalnej, mamy tu okrzeski krzemienne, znalezione wraz z zębami nosorożców, które w naszej części Europy wyginęły gdzieś przed 40.000 lat.

Z **epoki kamiennej** posiada muzeum topory, groty, noże, skrobowce i naczynia z charakterystycznym dla tej epoki ornamentem sznurowym. Reprezentowana jest tu również **epoka bronzowa halsztadzka i żelazna.** Tutaj właśnie najwięcej cennych eksponatów dostarczył prof. Dworski. Ostatnią grupą muzealną jest bogata **grupa etnograficzna.** Wzrok z przyjemnością pada tu na stroje tubylców i kolonistów, hafty ruskie, mazurskie i żydowskie, czepce, koszule i stroje. Mamy tu również piękne lalki, przedstawiające typy w strojach ludowych z przed stu lat. Wykonała je według złożonych w Ossolineum rysunków, p. z Drojowskich-Osińska. Ozdobą tej grupy są również akwarele i drzeworyty prof. Jakubowskiego przedstawiające bogów Słowian.

ZAKOŃCZENIE

Obok muzeum, mamy w tym samym budynku bibljotekę Twa Przyjaciół Nauk z 20.000 tomów. Trzon bibljoteki stanowią książki ofiarowane przez Bolesława Orzechowicza. Znajdujemy tu szereg cennych druków Najstarszy inkonabuł łaciński pochodzi z roku 1485, polski z roku 1561 Jest to bardzo rzadka „Biblja Leopolity", palona dla swych heretyckich tendencyj. Duszą tej cennej bibljoteki muzealnej jest prof Józef Kupka. Związane z muzeum **archiwum miejskie**, należy obok krakowskiego, do najlepiej zachowanych w Polsce Mamy tu akta magistratu i cechów począwszy już od roku 1400. Tutaj bardzo duże usługi oddał dyr Jan Smolka. Oprócz powyższych prac T. P. N. wydało 7 pięknych roczników z pracami przemyskiemi i profesorów uniwersytetów, kilka dzieł naukowych, wmurowało nadto w roku 1916 na zewnętrznej ścianie katedry tablicę grunwaldzką, oraz wybiło medale ku czci Jagiełły, Królowej Jadwigi i Bolesława Chrobrego. Kierownicy T. P. N. z wdzięcznością wspominają dużą pomoc jaką muzeum i archiwum darzył prof. Przemysław Dąbrowski ze Lwowa.

W ten sposób przeszliśmy pobieżnie muzeum. Powstało ono z inicjatywy jednostek i przez jednostki zostało wzniesione na wyżyny. Trzeba jednak, aby Polacy przemyscy, nietylko o Narodowem Muzeum Ziemi Przemyskiej pamiętali i sławę jego roznosili po całym kraju, ale też, aby mu na każdym kroku spieszyli z pomocą i moralną i bardzo potrzebną materjalną.

Włodzimierz Bilan

„Człowiek w obliczu gór"

Rozgorzała w całej Polsce walka o rzecz, zdawałoby się nieistotną, błahą niemal w stosunku do tysiąca innych bardziej piekących zagadnień. Poprostu o budowę kolejki na Łomnicę.

Spisano już na ten temat stosy papierów, wysuwano setki argumentów za i przeciw, posypały się protesty, podpisane przez dziesiątki stowarzyszeń naukowych, kulturalnych, i sportowych.

Ostatnio zabrał w tej sprawie głos Michał Pawlikowski, w wydanej świeżo broszurze „Człowiek w obliczu gór", występując energicznie w obronie nienaruszalnego piękna i majestatu przyrody, wystawionej na bezwzględne, brutalne ataki „filisterskiej kultury".

Autor przechodzi pokrótce poszczególne etapy zainteresowania się człowieka przyrodą górską, która przez długi czas wywoływała u niego uczucie grozy, lęku i własnej nicości. „Generalny wymarsz w góry" rozpoczął się dopiero w wieku dziewiętnastym. Wkrótce już jednak „wymarsz" ten przerodził się we formalny „atak", pod hasłem.

„W góry, w góry, miły bracie,
„tam swoboda czeka na cię".

Ową swobodę" rozumiano w ten sposób, że

„Każdy mógł tam dokazywać jak chciał i znęcać się na przyrodzie, próbując swej człowieczej wszechwładzy"...

Wkrótce też podniosła się reakcja wyższej kultury w idei ochrony przyrody.

Oto, co pisał Jan Gwalbert Pawlikowski w r. 1913.:

Żywą siłę kultury stanowią ludzie, którzy przynoszą ludzkości nowe idee. Ale kiedy idea się przyjmie, rzuca się na nią tłum podludków. Idea ukochania przyrody, wyniesiona na targowisko jako moda, została wprowadzona w życie pod dwoma hasłami, upiększania i uprzystępniania przyrody. Niewątpliwie w przyrodzie znieprawionej niejedno byłoby do upiększenia, choćby drogą przywrócenia do dawnego stanu. Ale tego było najczęściej burżuazyjnym protzom za mało. Powstawały nazwy i poetyczne napisy, altany i wieże widokowe. A gdzie burżuj za swoje pieniądze mógł sobie pozwolić na szczególnie subtelne odczuwanie przyrody, tam umiesz czał po lesie pośród paproci gnomki terakotowe, na skale stawiał blaszaną kozicę, lub budował świątynię Odyna albo Walpurgishallę. Podobnym losom uległo uprzystępnianie dzikiej przyrody. Ludzie przejęci jej pięknością chcieli się nią z drugimi podzielić. Poczęli ułatwiać do niej dostęp, robiąc ścieżki, budując schroniska. Pojętne podludki zrozumiały, że dzika natura musi być piękna, bo tak chce duch czasu. Ale że człowiek współczesny potrzebuje komfortu, schroniska zamieniły się w hotele, czemu przemysł gospodnio - szynkarski przyszedł z ochotną pomocą. Jest to przecie w interesie wyższej kultury, jeśli umiłowanie dzikiej przyrody stajo się nowem źródłem bogactwa krajowego, którego reprezentantami są panowie hotelarze. Ścieżki obatrzono w poręcze i drogowskazy, drogi zamieniono w gościńce, a wreszcie sztuka inżynierska dokonała dzieła herostratowego, zbeszczeszczając szczyty górskie przez wprowadzenie na nie kolei żelaznej.

Oto, co robiono z owych źródeł zdrowia i siły, z miejsc, w których miała hartować się wola, z samotni, w których duch miał powracać sam w siebie dla odnalezienia siebie samego... Najpiękniejsze góry świata, znieprawione filisterską kulturą, stają się bezwartościową kupą gruzów.

Identyczne niemal stanowisko zajął w piętnaście lat później znakomity alpinista niemiecki, Gwido Lammer:

„Pradziadowie nasi" — pisze Lammer — „omijali lękliwie pustynię wysokogórską. Dlaczego jednak ich prawnuki ciągną do niej coraz to liczniejszą gromadą? Tysiącznych rzeczy szukają ci i owi turyści w górach, jednego jednak szukają wszyscy i przedewszystkiem: uczucia kontrastu z cywilizacją nizinną, tego czegoś zupełnie różnego, owej pierwotności nieokaleczonej przez celowość i pożytkowość człowieka. Któż jest tak dziecinny lub takim parweniuszem, by czuł niezmącone zadowolenie, gdy człowiek swoją techniką i maszyną przyrodę ujarzmia i znieprawia?... Któż jest tak gruboskórny, aby nie odczuł dreszczów zachwytu wobec niezastąpionej niczem piękności takiej właśnie nieokiełzanej, nietkniętej przyrody górskiej?... My dzisiejsi nie mamy prawa tego powierzonego nam kleinotu niszczyć, winniśmy go nienaruszonym przekazać naszym potomkom. Tam w górze niema miejsca dla jakiegokolwiek dzieła ręki ludzkiej, kolei,

gościńców, dróg, mostków, drabin, stałych lin, łańcuchów, klamer, kutych stopni, jakichkolwiek drogowskazów, tablic, napisów, jakichkolwiek gospód czy schronisk, koleb, albo sztucznych grot, jakichkolwiek kapliczek, figur lub krzyży, chorągwi, godeł państwowych, znaków granicznych, jakichkolwiek pomników lub tablic dla ofiar nieszczęśliwych wypadków.. żadnej rośliny nie wolno zrywać, żadnego zwierzęcia zabijać. Tam wysoko, gdzie dotarł wyłącznie alpinizm i gdzie tylko on krótkowzrocznie gwałci przyrodę, gdyż nie pojął bezcennej wartości jej dziewictwa, tam nie możemy ani my, ani nasi następcy zadowolić się kilkoma „parkami natury" rzucanemi jakby psom żebrzącym ochłapy. Wszystkie wysokogórskie pustacie muszą pozostać lub stać się na nowo olbrzymią, wspaniałą strefą ochronną... Tandetę naszej przemijającej cywilizacji mamy zostawić za progiem i pochylić czoła.."

* * *

Z kolei zajmuje się M. Pawlikowski gwałtownym rozwojem alpinizmu, kryjącego w sobie innego rodzaju niebezpieczeństwa, wynikające ze „zwyrodnienia sportowego" i manji rekordów:

W Polsce podjęto przed laty z górą dwudziestu zdecydowaną walkę zarówno z uprzystępnieniem, zaśmiecaniem i uprzemysławieniem gór, jak i z nadużywaniem ich jako terenu rekordów sportowych w imię wielkiej ideologji taternickiej. Polska też dała inicjatywę na Zjeździe towarzystw turystycznych w r. 1930 w Zakopanem, stworzenia międzynarodowej Unji towarzystw alpinistycznych, na którym to Zjeździe przeprowadzono między innemi następujące punkta rezolucji:

„Ideologja alpinizmu i idea ochrony przyrody są ze sobą w najściślejszym związku".

„W rozwoju alpinizmu powinny być dane wytyczne w kierunku a) wychowania młodego pokolenia w miłości do gór, b) powrotu do prostego i skromnego bytowania w górach i rezygnowania z wygód i ułatwień poza najniezbędniejszemi potrzebami alpinisty, c) nie mnożenia nieopatrznie tych udogodnień, czyto przez tworzenie licznych ścieżek i łatwych dróg, czy też przez budowę zbyt licznych i obszernych schronisk".

„Należy pozatem czyścić alpinizm nowoczesny z manji rekordów wszelkiego rodzaju, obniżających jego poziom moralny".

„Konferencja uważa za niezbędną ochronę szczególnej piękności rejonów alpinistycznych, których byt zagrożony jest przez wybujałą eksploatację, uprzemysłowienia i cywilizację. W tym sensie ochrona przyrody jest nietylko naturalną funkcją, ale samą racją stanu alpinizmu.."

W góry należy iść „con umiltà e con fervore" — cytuje autor zdanie Kamila Giusanni'ego, wybitnego alpinisty włoskiego, który mówi dalej:

„To, o co przedewszystkiem chodzi jest, aby każdy kto chce się zbliżyć do Alp, wiedział i czuł, że przechodzić ma próg nie sportowego boiska, ale wielkiej szkoły wychowania i królestwa najwyższego piękna"..

Wywody swe kończy M. Pawlikowski następującemi uwagami:

W miarę rozstawania się z przyrodą, człowiek ulegał degeneracji. Odszedłszy od niej, tracił najpierw sprawność i uzdolnienie fizyczne na skutek stopniowego wyręczania się bronią, narzędziem i maszyną... Równolegle głuchły w nim różne tajemnicze instynkty, które zachowały zwierzęta, — instynkty zmierzające do rozbudowy i zachowania bytu jednostki i gatunku. w miarę jak zaczęło mu je zastępować rozumowanie. Ale to nie wszystko: Utracił on ponadto, mimo wydelikacenia aparatu uczuciowego, naturalną równowagę uczuć i wewnętrzny spokój, co rozeznaje dopiero wtedy, kiedy się znowu spotyka z niezmąconą harmonją natury. Odbiając się od prażródeł bytu, utracił poczucie wewnętrzne prostej, nieomylnej logiki, przyrody, którą zakonserwował tylko w spekulatywnem wnioskowaniu, jakie stanowi podstawę jego skomplikowanych działań technicznych, i utracił intuicyjne poczucie jej praw odwiecznych, które zastępuje doktryną.

Tracąc kontakt z przyrodą, człowiek albo duchowo karleje w powszedności, albo dusi się w neurastenicznych zmaganiach z braku powietrza, jak motor bez jego dopływu. Dusza ludzka, w miarę wyłącznego obcowania sama ze sobą, ulega naturalnemu prawu autointoksykacji. Nie potrzeba tej prawdy rozwijać; łatwo każdy, nietylko socjolog czy poeta, sami ją sprawdzić potrafi.

Odradzać i odrodzić się może człowiek jedynie wówczas, gdy stanie twarzą w twarz z wolną naturą, wolną od wpływów ludzkich, gdy wyzbędzie się wszelkiego egoizmu i egocentryzmu, wszelkiej myśli o sobie, o swych nawyczkach i wygodach, interesach materjalnych i moralnych, kiedy wyrzeknie się myśli o swym prymacie i wszechmocy, kiedy zapomni o swych małostkach i wielkostkach, by zanurzyć się we wielkości Stwórcy i w poczuciu solidarności ze swą rodzicielką: Naturą.

Jeden artysta w trzech osobach

W paryskiem Palais Royal urządzono w sierpniu wystawę trzech braci Le Nain, których obrazy zebrano starannie, wypożyczając je z różnych zbiorów prywatnych, głównie francuskich i angielskich. Wszyscy trzej podpisywali się samem nazwiskiem, wszyscy trzej kształcili się pierwotnie na wzorach flamandzkich, wszyscy trzej pracowali przez przeszło piętnaście lat w tem samem **atelier**, pomagając sobie wzajemnie i często używając tych samych modeli. To też przez długi czas nie próbowano nawet odróżniać ich obrazów, a poza uczonymi specjalistami mało kto wiedział, że podpis Le Nain oznacza zwykle jedną z trzech osób — Antoniego, Ludwika lub Mateusza.

Od jakichś lat pięćdziesięciu sprawa się nieco zmieniła, ale znawcy sztuki nie w każdym wypadku doszli do zgody. „Narodziny Matki Boskiej" z kościoła Saint-Etienne-du-Mont wyszły wedle jednych z pod pendzla Ludwika, wedle innych z pod pendzla Mateusza. Obraz „Malarz w swej pracowni", należący do Pinakoteki monachijskiej (**Aeltere Pinakothek**) figuruje w jej katalogach jako dzieło Mateusza, ale prawdopodobnie jest dziełem Ludwika. „Młodych muzykantów", własność lorda Aldenham przysądzają jedni Antoniemu, inni Mateuszowi. Wygląda tak, jakby bracia umyślnie chcieli przysporzyć kłopotu (czy tematu do polemik) przyszłym historykom sztuki.

Bracia pochodzili z Laon w północnej Francji i przybyli do Paryża w roku 1630. Najstarszy, Antoni, miał wtedy lat 43, Ludwik 37, Mateusz 23. Zamieszkali na Rue Princesse. Po długoletnich studjach niewiele można powiedzieć o przynależności obrazów, jakie wyszły z ich pracowni w ciągu następnych lat dziesięciu. Dopiero w późniejszych obrazach można poniekąd się zorjentować — czy to wedle powtarzających się postaci, czy wedle przedmiotu, czy wreszcie wedle techniki i kolorytu.

Antoni stanowczo odróżnia się od braci prymitywną metodą. Nie uznaje wcale światłocienia, co jego portretom nadaje dziwny charakter. Malował najchętniej mieszczan i sceny z ich życia. Nie lubił dużych obrazów, stąd często używał nie płótna, lecz na drzewie lub na miedzi. Kompozycja Antoniego bywa



Ludwik Le Nain. Portret (fragment)



Antoni Le Nain: Portret

naiwna, kolory bywają jaskrawe i wyraźnie odcinają się od siebie. Z obrazów jego warto wymienić „Benedicite" (na miedzi, ze zbioru Dawida Weilla), „Grupę portretów" (na drzewie, z angielskiej Galerji Narodowej), „Młodych muzykantów" (na płótnie, ze zbiorów lorda Aldenham), „Pracownię" (na drzewie ze zbiorów markiza Bute).

Jakkolwiek między Antonim a Ludwikiem było tylko 5 lat różnicy, między Ludwikiem a Mateuszem aż 14, istnieje między dwoma drugimi szereg punktów stycznych. Są wyraźnie bardziej nowożytni od Antoniego. Używają efektów świetlnych. Widocznie zawdzięczają to wpływom włoskim, chociaż prawdopodobnie żaden z nich nie był pod auzońskiem niebem. Lecz wiemy, że szczególnie Caravaggio oddziałał na współczesnych Francuzów, może więc i na młodszych braci Le Nain pośrednio. Trudniej wyjaśnić niezaprzeczone podobieństwa do szkoły hiszpańskiej, do Valasqueza i Ribery. Bądź co bądź, musieli mieć sposobność zapoznania się choć z paru obrazami tych mistrzów.

Ludwik jest malarzem życia wiejskiego. Różni się jednak bardzo od Holendrów. Z płócien Breughela, Brouwera, czy Teniersa bije ordynarność, nastrój pijacki, nieledwie wrzawa kłótni czy hulanki. Chłopi Ludwika Le Nain, choć nieraz w obszarpanych czy łatanych kubrakach, odznaczają się powagą i godnością. Nie stara się on podchwycić ruchu, grupuje swe postacie w chwilach spoczynku. Woli barwy łagodne od jaskrawych, najchętniej używa szarej i bronzowej. Cechy te widoczne są w „Wypoczynku wieśniaków", „Zebraniu rodzinnem" (Luwr), w „Postoju rycerza" (Muzeum Alberta i Wiktorji w South Kensington w Londynie), w „Wieśniaku przed chatą" (własność księcia Rutland), w najlepszem może „Wnętrzu flamandzkiem" (własność księcia Leeds) i w sławnym „Wozie".

Najsilniej ulega wpływom holenderskim Mateusz. Niektóre jego obrazy przypisywano mylnie Michałowi Sweertsowi, Van Honthorstowi, Janowi Mielowi. A przecie baczniejsze oko stwierdzi zawsze u niego, jak u starszych braci swobodny realizm, właściwy szkole francuskiej.

Mateusz był malarzem szlachty i arystokracji. Za portret Anny Austrjackiej został nawet nobilitowany. Celuje jednak w grupach, przedstawiając swe zamaszyste, a nieraz wytworne postaci przy sołach gospód, przy grze w karty czy tryk-traka. „Kordegarda" ze zbiorów baronowej de Berkheim uchodzi za jego najlepszy obraz tego rodzaju. „Święto wina" przedstawia sześciu ludzi — z tych dwaj szlachcice, umieszczeni na prawo, malowani są z większym rozmachem i pewniejszą ręką, niż czterej wieśniacy. Mateusz nie umie malować przyrody. Najchętniej daje swym obrazom za tło wnętrze pokoju. Lecz nawet tam, gdzie scena rozgrywa się napewne pod gołem niebem, zadowala się konwencjonalnem tłem bładoniebieskiem — tak jest w uroczej „Lekcji tańca". Wymienione już „Święto wina" ma tło szare — zresztą dobrze wybrane jako kontrast do strojów postaci.

Najwybitniejszym artystą z braci był niewątpliwie Ludwik, odegrał też w roz-



Ludwik Le Nain: Fragment z „Kuźni"

woju malarstwa francuskiego dość wybitną rolę, wnosząc w nie coś nowego i oryginalnego, jakiś nowy sposób patrzenia na ludzi i na rzeczy, trzymając się rzeczywistości, a równocześnie wydobywając z niej — poezję.

N. P.

Kłopoty meksykańskich kawalerów

Federacja narodowo - demokratyczna Meksyku, zaniepokojona spadkiem liczby małżeństw w kraju, rozpoczęła agitację za nałożeniem na ludzi bezżennych wysokiego podatku i przyjęciem zasady, że człowiek żonaty ma pierwszeństwo przy obsadzaniu wszelkich stanowisk rządowych. Kawalerowie odbyli szereg zebrań i wystąpili ze swą obroną. Między innemi zwrócili uwagę na stary obyczaj meksykański, nakazujący na pana młodego wszystkie koszty wesela

O nikotynie i jej własnościach

W ostatnich czasach rozpowszechnia się w Polsce niebywale uprawa rośliny tytoniowej, a równocześnie konsumpcja tytoniu wzrasta silnie wśród szerokich warstw społeczeństwa polskiego bez względu na wiek i płeć. Fakt ten wyłania potrzebę poznania własności takiego alkoloidu, jak nikotyna, którą w świecie roślin zawiera jedyny tytoń. Prócz tego znajomość chemji tytoniu powinna stać się własnością tak szerokich kół rolniczych, jak i konsumentów, choćby dlatego, że używka tytoniowa działa często ujemnie na ludzki organizm.

W szerokich kołach naszego społeczeństwa panuje zapatrywanie, że nikotyna jest najszkodliwszą częścią składową rośliny, a zwłaszcza liści tytoniowych, — wobec czego omówimy przedewszystkiem właściwości tego alkaloidu.

Chemja zalicza nikotynę do grupy alkaloidów. Do grupy tej należą wszystkie związki o charakterze zasad i zawierające azot. W grupie alkaloidów, liczącej setki związków, nikotyna odznacza się tem, że nie zawiera tlenu. Takie same właściwości wykazują jeszcze trzy alkaloidy, a mianowicie: piperydyna, koniina i sparteina.

W roślinie tytoniowej odkrył nikotynę Vouquelin w 1809 roku, jednak dopiero w 1828 r. chemicy Posselt i Reiman otrzymali nikotynę w czystej postaci, ustalając jej budowę według wzoru $C_5 H_7 N$. Później Barrel zbadał dokładniej budowę drobiny nikotynowej i poprawił powyższy wzór na $C_{10} H_{14} N_2$.

W nauce chemji zalicza się nikotynę do zasad, które posiadają tę własność, że tworzą łatwo sole rozpuszczalne, które jednak krystalizują z trudnością. — Z drugiej strony nikotyna posiada tę własność, że szybko wchodzi w podwójny związek ze solami metali, a taki związek krystalizuje szybko i z łatwością.

Wiele lat badano własności i właściwości nikotyny, które tak długo były nieznane, dopóki Pictet nie doszedł do syntezy tego alkaloidu i z tą chwilą materjał naukowy, tyczący się nikotyny stał się wielce interesujący.

Metody analizy nikotyny tak jakościowej, jak też ilościowej przeszły długą historję. Chemicy długi czas pracowali bezskutecznie nad tem, by przy pomocy ilościowej analizy tytoniu oznaczyć wysokość zawartości tego alkaloidu w danym materjale. W drugiej połowie XIX w. chemicy poświęcili temu przedmiotowi wiele uwagi, celem zaspokojenia licznych potrzeb i zadań rolniczych, przemysłowych i handlowych. Potrzeby te wzrosły jeszcze z chwilą, gdy tytoń stał się przedmiotem wielkiego, światowego handlu i okazała się konieczność oznaczenia podstaw dla klasyfikacji surowca i wyrobów tytoniowych.

Wyznaczono wiele metod, służących do oznaczenia ilości nikotyny w tytoniu, wśród których na pierwsze miejsce wybiły się: metoda Kisslinga i metoda Totha. Niestety licznie wykonane analizy według tych metod dają często wyniki różne, wobec tego niepewne, — czyli że obecnie nie posiadamy jeszcze zupełnie pewnej metody, według której wykonana analiza tytoniu dałaby nam zupełnie ścisłe dane, tyczące się zawartości nikotyny w danym materjale.

Długoletnie jednak prace nad nikotyną przyczyniły się wiele do poznania właściwości tego alkaloidu.

Przedewszystkiem stwierdzono, że nikotyna w czystym stanie posiada własność skręcania płaszczyzny spolaryzowanego światła, przez co alkaloid ten stał się w nauce wielce wartościowym.

Prócz tego stwierdzono, że nikotyna rozpuszcza się we wszystkich do tego celu używanych środkach, wobec czego w każdym organizmie łatwo przenika do wszelkich organów i komórek.

Zachowanie się nikotyny we wodzie wykazuje również wiele ciekawych właściwości. Jeśli wodny roztwór nikotyny poczniemy ogrzewać, to przy temperaturze + 60° C do + 70° C tworzy się w dotychczas jasnym rozstworze zaciemnienie, które po chwili przy dalszem ogrzewaniu ustępuje i w dotychczas jednolitym płynie wyłaniają się w końcu dwie warstwy wyraźnie odgraniczone, z których jedne tworzą hyperpolę. Obie te warstwy pozostają nienaruszone aż do t emperatury 200° C, w cieplocie, wyższej ponad 200° C znikają. Ta ciekawa własność nikotyny posiada swą wartość przy przeprowadzaniu fermentacji tytoniu, jakoteż w przemyśle tytoniowym zwłaszcza w czasie przyrządzania liści tytoniowych do wyrobu.

Nikotyna znajduje się w tytoniu obok różnych składników mineralnych i organicznych. Pietet utrzymuje, że tytoń zawiera prócz nikotyny jeszcze inne alkaloidy, bliżej niezbadane, różniące się między sobą punktem wrzenia i specyficznym ciężarem.

Nauka chemji nie rozwiązała jeszcze pytania, czy te alkaloidy tworzą się podczas okresu wegetacyjnego rośliny tytoniowej, czy też powstają dopiero po zbiorze liści tytoniowych w czasie suszenia i fermentacji.

Nikotyna w czystym stanie jest jasnym, bezbarwnym płynem o wielkiej ruchliwości, o bardzo silnym i wybitnym a charakterystycznym zapachu i nadzwyczaj ostrym smaku. W tym stanie jest niebywale silną trucizną. Płyn ten pod wpływem tlenu powietrza bardzo łatwo i szybko brunatnieje i gęstnieje.

W roślinie tytoniowej i wogóle w tytoniu nikotyna bardzo rzadko znajduje się w wolnym stanie, lecz prawie zawsze w połączeniu ze składnikami organicznymi. Młode rośliny tytoniowe zawierają zwykle bardzo małe ilości nikotyny, starsze zaś i dojrzałe zawierają ją w różnych dawkach zależnie od gatunku rośliny tytoniowej, od gleby, klimatu a przedewszystkiem od sposobu uprawy, zbioru, suszenia i fermentacji.

Na ogół jednak liście tytoniowe o grubej strukturze, mięsiste i ciemno - brunatne zawierają więcej tego alkaloidu, aniżeli liście z delikatną, cienką strukturą i jasną barwą.

Zawartość nikotyny w różnych gatunkach tytoniu jest wielce różną. Tytonie azjatyckie zawierają jej 4—5%, amerykańskie 1.5—3.5%, hawańskie średnio 3%, tyrolskie 5%, niemieckie 2—4%, węgierskie często do 8%. Liczne analizy tytoniu wykazały, że najmniej nikotyny zawierają tytonie polskie, gdyż ilość ta zniża się u nas do 0.3% a u bardzo pośledních tytoni polskich, służących do wyrobu ekstraktu tytoniowego podwyższa się do 3%.

Chodziłoby jeszcze o rozwiązanie pytania, jak nikotyna wpływa na organizm i zdrowie konsumentów tytoniu. Przedewszystkiem należy zaznaczyć, iż nie ma dowodu, by najszkodliwszym składnikiem tytoniu była nikotyna, która w czasie palenia znika szybko i rozkłada się pod wpływem tlenu i innych zewnętrznych czynników. Zatrucie tytoniem, mylnie nazywane zatruciem nikotyną, jest zwykle skutkiem nadmiernego palenia czyli nadużycia i wynikiem mniejszej lub większej odporności danego organizmu. Nie wiemy jednak, które składniki tytoniu i w jakiej postaci działają szkodliwie na organizm ludzki, gazy, zatruwające nasze organy oddechowe, błony śluzowe i wogóle organizm.

To pewne, że z jednej strony jest tutaj czynny tytoń, a z drugiej człowiek, jako jego konsument.

Organizm jednego człowieka zniesie większą, często nawet bardzo wielką dawkę tej używki, jeśli jest silny, odporny i zdrowy, podczas gdy nawet bardzo mała dawka wpływa wielce szkodliwie na organizm innego człowieka mniej odpornego i nie przystosowanego do tej konsumpcji.

To pewne, że nikotyna działa podniecająco na człowieka, ale tylko do pewnego momentu i przy pewnym ilościowym stosunku do odporności organizmu. W każdym razie jednak nadużycie tytoniu osłabia zmysły, umysł i wolę człowieka.

Tytoń działa na organizm ludzki powoli, nieznacznie, że się tak wyrażę tajemniczo do tego stopnia, że choroby nawiedzające palacza tytoniu przypisuje się zwykle innym przyczynom. Palacz często przypisuje bóle w żołądku jakiejś spożytej potrawie, ból głowy albo katar przeziębieniu, ból zębów przeciągom albo bóle ucha lub oczu pewnym zewnętrznym przyczynom. A tymczasem jakże często wywołuje te niedomagania nadużycie tytoniu, czego najlepszym dowodem jest to, że przerwa w paleniu usuwa szybko te dolegliwości.

Długa służba przy monopolu tytoniowym pozwala na liczne obserwacje w tym względzie. Stwierdza się również liczne dodatnie objawy. Tytoń jest dobrym środkiem antyseptycznym. Pracowników fabryki tytoniu omijają zakaźne choroby, statystyka dowodzi, że mały procent zapada na gruźlicę a praktyka fabrykacyjna uczy, że konsument zatruje się jedynie tytoniem złym, źle wyprodukowanym i źle przyrządzonym, a zwłaszcza zanieczyszczonym.

Dlatego też w trosce o dobro społeczeństwa starać się należy, by pracę kierowniczą tak przy uprawie, suszeniu i fermentacji tytoniu, jak przy fabrykacji tytoniu powierzono ludziom fachowym i doświadczonym.

Dr. Julian Skulski
Inż. roln.

Nowości z przyrody i techniki

Pokłady rudy uranowej w Kanadzie. Produkcja radu stała się od roku 1922 niemal monopolem Belgji, a to dzięki odkryciu bogatych pokładów rudy uranowej w Katanga (Kongo belgijskie). Produkcja wynosząca zaledwie 20 gramów w roku 1923, wzrastała stopniowo, dochodząc w roku 1929 do 60 gramów i na tej wysokości utrzymuje się dotychczas.

Obecnie jednak odkryto nowe pokłady rudy uranowej w północnej Kanadzie, a mianowicie w pobliżu Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego (Great Bear Lake), położonego w pobliżu koła podbiegunowego. Okolica ta dotychczas mało była zbadaną, z powodu trudnego dostępu i śniegów, leżących tam przez większą część roku.

Pokłady te, ciągnące się na długości kilku kilometrów, zawierają — jak wykazały badania, między 30 a 80 procent tlenku uranu, co pozwala uzyskać przeciętnie 120 do 150 miligramów czystego radu z jednej tony rudy. Jest to procent bardzo wysoki, skoro się uwzględni, że z rudy uranowej wydobytej w Katanga otrzymuje się tylko około sto miligramów radu na tonę.

Jedyną trudność stanowi długi i uciążliwy transport rudy na przestrzeni 1600 klm. do Waterways najbliższej stacji kolejowej.

Koszty te jednak wytrzymują doskonale kalkulację wobec bardzo wysokiej ceny tego rzadkiego produktu. Cena ta, wynosząca 500 franków w złocie za 1 miligram, spadła ostatnio do 350 franków w złocie.

Lampki wzmacniające, wagi 78 kg. Wszystkie radiostacje dążą obecnie do zwiększenia siły swych aparatów nadawczych, co w pierwszej linji zależnem jest od wydajności lampek wzmacniających. Dotychczas stosowano do tego celu cały szereg równolegle zmontowanych lamp, których ilość była tem większa, im mniejszą była siła poszczególnych lampek.

Ze względów ekonomicznych dąży się do tego, by ilość tych lampek zredukować do minimum, powiększając równocześnie ich rozmiary i siłę.

Radjostacje niemieckie w Monachjum, Lipsku i Wrocławiu posiadają już lampki o sile 150 kilowatów; ostatnio zaś stacja w Koenigswusterhausen oraz austrjacka stacja w Bisamberg pod Wiedniem otrzymały lampki o sile 300 kilowatów.

Lampka taka, długości 1.70 mtr., waży nie mniej jak 78 kg. i posiada, jak każda zwyczajna lampka, katodę i anodę. Otrzymując prąd stały, a przetwarzając go na zmienny o wysokiej frekwencji, wytwarza przy tym procesie ciepło, pod działaniem którego anoda rozżarzałaby się do czerwoności, gdyby nie była stale chłodzoną strumieniem zimnej wody.

Oziębianie to odbywa się w ten sposób, że anoda umieszczoną jest z zewnątrz właściwej lampki. Ma ona kształt długiego cylindra miedzianego, zamkniętego w drugim metalowym cylindrze. Między ścianami tych cylindrów krąży zimna woda, której zużycie wynosi 165 litrów na minutę.

Walka z dymem fabrycznym: Największą plagą wielkich miast, zwłaszcza przemysłowych, są chmury dymu, płynące z kominów fabrycznych i okrywające miasto niby szarym, ciężkim całunem. Jak wykazały badania, przeprowadzone w angielskiem mieście fabrycznem, Leeds, ciężka ta powłoka dymów absorbuje nie mniej jak 60 proc. promieni słonecznych; w wielkich miastach jak Berlin i Paryż absorbcja ta wyraża się cyfrą 25 do 30 proc.

Stan ten odbija się fatalnie na zdrowotności mieszkańców, nie dziw zatem, że podjęto energiczną akcję celem skutecznego zwalczania tej plagi.

W pierwszej linji dąży się do jaknajszerszego wyzyskiwania gazu, elektryczności i koksu jako źródeł ciepła, — w ten sposób bowiem uniknęłoby się wywiązywania się dymów. Nie zawsze i nie wszędzie jest to jednak możliwe, z uwagi na wysokie koszty, nie wytrzymujące kalkulacji w wielkich przedsiębiorstwach przemysłowych.

Z pomocą przyszła tu nowoczesna technika, konstruując cały szereg urządzeń, dzięki którym redukuje się wytwarzanie dymów w znacznym stopniu.

Odpowiednia wentylacja, racjonalna budowa paleniska, filtry elektryczne i wodne, — oto cały bogaty arsenał tego rodzaju środków.

Ostatnio rząd francuski wydał specjalną ustawę, nakazującą wszystkim przedsiębiorstwom fabrycznym zaopatrzenia się w odpowiednie urządzenia pochłaniające dym. Ustawa ta wywołała liczne protesty i polemiki, nakłada bowiem na interesowanych nowe, dość znaczne ciężary. Wprowadzenie jej w życie ma jednak bardzo doniosłe znaczenie, z punktu widzenia hygieny społecznej.

(k).

Bajroniczny piewca Kaukazu

(w 120-lecie urodzin Michała Lermontowa)

Trzem wieszczom naszym odpowiada w literaturze rosyjskiej trójca: Puszkin - Lermontow - Gogol. Rozumie się, przeprowadzanie analogji między Puszkinem a Mickiewiczem i między Słowackim a Lermontowem byłoby bardzo ryzykowne; Krasińskiego zaś z Gogolem łączy chyba to jedynie, że obaj na szczyty literatury narodowej wznieśli prozę artystyczną, uzyskując dla niej równorzędne miejsce obok wielkiej poezji.

Łatwiej natomiast da się przeprowadzić analogja między tem, co łączyło i dzieliło Mickiewicza i Słowackiego a między stosunkiem wzajemnym (stosunkiem nie osób, ale indywidualności twórczych) między Puszkinem a Lermontowem. A więc jak Słowacki obok Mickiewicza — jest Lermontow obok Puszkina największym poetą rosyjskim, przez niektórych uważanym za większego jesz cze artystę, niż twórca „Oniegina" i „Borysa Godunowa".

Za życia Lermontow stosunkowo mało był znany i ceniony — wyjątek stanowią tylko te jego utwory, w których przy pomocy bezlitosnej satyry chłoszcze swych nieprzyjaciół lub sprawców „nieprawości" w Rosji. Po śmierci coraz to większa aureola otacza młodo zmarłego poetę; za życia niemal nieznany, urasta po latach niemal do rozmiarów świętości narodowej. Przewyższa Lermontow Puszkina siłą egotycznego przeżywania — jest on w znacznie wiekszym stopniu lirykiem, niż pierwszy, prawdziwie nowoczesny i największy poeta ziemi rosyjskiej. Gdy u Puszkina przeważają elementy plastyczno - epickie, Lermontow zachwyca przedewszyst kiem muzykalnością swej liryki.

Ta jego melodyjność nie znajduje sobie równych w poezji rosyjskiej przez cały wiek XIX-ty, a nawet i w wieku XX-tym wspaniała muzyczność poezji symbolistów nieraz ustępuje prostej, bezpośredniej melodyjności wiersza lermontowskiego.

Uderza w Lermontowie niezwykle wczesna dojrzałość: gwałtowna śmierć unicestwiła olbrzymi talent poetycki w chwili, gdy się zbliżał do szczytowego napięcia, gdy się znajdował w okresie największego, najbujniejszego rozkwitu.

Podobieństwo między Lermontowem a Słowackim ma charakter czysto zewnętrzny, a nieraz przypadkowy. Poza temi elementami zewnętrzności i przypadkowości nie istniało nic naprawdę, coby łączyło duchowe „ja" twórcy „Lilli Wenedy", Anhellego" i „Króla Ducha" z oficerem gwardji o bardzo niewysokim poziomie moralnym,.. z awanturnikiem i złośliwym mizantropem, który dzięki tej awanturniczości i złośliwości sam poniekąd stał się sprawcą własnej tragicznej śmierci. Nic innego bowiem jak kłótliwość i zjadliwa złośliwość Lermontowa spowodowały awanturę z oficerem Martynowem, — awanturę, zakończoną tragicznym pojedynkiem, w wyniku którego Rosja straciła jednego z największych swych poetów w okresie najbujniejszego rozkwitu jego talentu.

Zginął Lermontow w roku 1841, w 28 roku życia, w 4 mniej więcej lata po śmierci Puszkina, który 27 stycznia 1837 r. również zginął w pojedynku. Śmierć jednak Puszkina — w przeciwieństwie do Lermontowa — ma charakter prawdziwie głęboko tragiczny: wielki poeta nie zawinił w niczem, by choć w czemkolwiek można było przypisywać smutny jego los jemu samemu.

Uderza w literaturze rosyjskiej tragizm losów wielkiej liczby najwybitniejszych poetów: Batiuszkow, znakomity klasyk, umarł duchowo na długo przed śmiercią fizyczną — długie lata pędził w obłąkaniu; Gogol również wykazywał przed śmiercią silne objawy choroby psychicznej; „diekabrista" Rylejew zginął na szubienicy; twórca słynnej komedji „Gorie ot uma" — Gribojedow zginął w Teheranie jako poseł rosyjski, rozszarpany przez fanatyczny tłum muzułmański, przed którym bronił perskich chrześcijan; Błoka dobił podobno głód w Rosji Sowieckiej; Gumilow zginął, rozstrzelany przez „cze - ka", Jesienin i Majakowskij targnęli się na własne życie; Puszkin i Lermontow — jak się powiedziało — zginęli w pojedynku.

Rzecz znamienna, że Lermontow śmierć swą przeczuł i bardzo dokładnie ją opisał zarówno w swych lirykach, jak i w scenie pojedynku oficerów w romansie „Bohater naszych czasów".

Gówną osobliwością poezyj Lermontowa są pesymizm i mizantropja, przenikające całą jego twórczość, a będące najklasyczniejszym objawem zbajronizowania się poezji poza angielskiej. Bajroniczna moda wywarła na literaturę rosyjską wpływ równie silny, a może i silniejszy niż na polską; modzie tej ulegał i Puszkin. Bajronizm jednak poetów rosyjskich miał charakter sztuczny, powierzchowny, czysto zewnętrzny, — był następstwem nie takiego czy innego nastawienia duchowego, ale skutkiem gorączkowego uganiania się za wszystkiem, co modne było w świecie artystycznym Zachodu.

Uganianie się to za obcą modą jest jedną z najcharakterystyczniejszych cech literatury rosyjskiej na początku XIX stulecia. Nic innego, jak tylko moda kazała Puszkinowi wdziewać na się maskę poety romantycznego, choć cała jego psychika i konstrukcja artystyczna były bardzo odległe od romantyzmu i obce jego ideałom i kanonom.

Tak samo maską tylko był bajronizm Puszkina („Jeniec kaukaski", „Cyganie", „Bakczisarajska fontanna"), przeciwnie niż u Lermontowa, którego pesymizm, mizantropję i melancholijność rozwinął tylko wpływ Byrona, stając się źródłem pełnej melancholii i mizantropji, owianej kultem przyrody a pogardą do ludzi i cywilizacji, — poezji „kaukaskiej" Lermontowa.

Kaukaz wywarł na poecie olbrzymie wrażenie, zaciążył nad całą jego twórczością. I Puszkin opiewał Kaukaz, — a przecież nie potrafił, czy nie chciał tak sugestywnie odtworzyć groźnego, przytłaczającego czaru wspaniałej przyrody. Uwielbienie natury nie osłabiało w Puszkinie radości życia: jego „Jenec kaukaski", typowa bajroniczna psychika — oficer rosyjski, wzięty przez czerkiesów w niewolę, choć pozna nicość swych walorów psychicznych („przeżartych cy wilizacją!") w obliczu wspaniałej natury i jej dzieci, — skorzysta przecież z ofiary miłości Czerkieski i wróci z niewoli do swoich.., do cywilizacji, zostawi za sobą na zawsze ten świat nawpółdzikich, pierwotnych ludzi, dzieci nawpół dzikiej, pierwotnej natury — i cieszyć się będzie, gdy „przed nim we mgle zalśnią rosyjskie bagnety, a na wzgórzach nawoływać się będą straże kozackie".

Ten sam temat inne znajduje rozwiązanie u Lermontowa: ofiara miłości i życia Czerkieski nie zdała się na nic, jeniec ginie podczas ucieczki, tuż niemal przed placówkami rosyjskiemi — ponura beznadziejność owiewa cały poemat!..

Ta ponura beznadziejność, połączona z nienawiścią i pogardą do ludzi, a w szczególności do cywilizacji, — a przesiąknięta uwielbieniem dla przyrody — charakteryzuje całą „kaukaską" poezję Lermontowa. W poemacie „Izmaił - bej" góral kaukaski miał możność poznać się ze światem cywilizacji i wyniósł z tego zetknięcia się tylko nienawiść, wstręt i pogardę. W „Mcyri" bezdomne dziecko kaukaskie wychowuje się w klasztorze, pędzi spokojne, zamknięte życie. I oto pewnego dnia — już jako młodzieniec — wyrywa się z klasztoru, błądzi przez lasy i góry, podziwia przyrodę i sam się z tą przyrodą zespala, walcząc ze żbikiem jak jedno zwierzę z drugiem. Odnosi zwycięstwo, zabija żbiki, ale niebawem ginie z ran, wyznając w klasztorze przed śmiercią, że nie żałuje tego jednego dnia, bo „długo żył, lecz żył w niewoli — takie dwa życia warto oddać za jedno".

Szczytem twórczości Lermontowa jest poemat „Demon". Tu najwspanialej unieśmiertelniony został czar przyrody Kaukazu. Tu też w całej pełni wystąpił bajronizm Lermontowa: „smutny demon, wygnany duch" latał nad grzeszna ziemią, samotny, nieszczęśliwy, spragniony miłości. Zdobywa po długiem kuszeniu miłość zakonnicy, która pokochała go właśnie za to jego straszliwe osamotnienie, — ale gdy po jej śmierci chce zabrać jej duszę do swego mrocznego królestwa, anioł mu ją odbiera i prowadzi do Nieba, bo była czysta i niewinna.. A demon znowu samotny krąży nad ziemią...

Że potrafił jednak talent Lermontowa tworzyć wartościowe rzeczy, a nawet arcydzieła i w innych dziedzinach. — dowodem nietyle pseudo - historyczny dramat „Hiszpanie", tchnący nienawiścią do katolicyzmu, ani nawet dramatyczne studjum o miłości i zazdrości — „Bal maskowy", — co wspaniała „Pieśń o kupcu Kałasznikowie". wczuwająca się w ducha epoki i kultury artystycznaj czasów Iwana Groźnego.

Do literatury światowej ponadto wnosi Lermontow nawpół autobiograficzne, analityczne studjum powieściowe p. t. „Bohater naszych czasów", jeden z najwspanialszych dokumentów dziejów duszy z epoki romantycznej ironji i bajronicznego pesymizmu i mizantropji. stojące w jednym szeregu z „Child - Harol dem" i „Don Juanem" Byrona, „Oniegi nem" Puszkina i „Spowiedzią dziecięcia wieku" Alfreda de Musset. (p. t.)

O „niepotrzebnych" organach

Do najczęstszych, najpopularniejszych — rzec można — zabiegów chirurgicznych należą od pewnego czasu operacje wycięcia (względnie „wyłuszczenia") migdałków oraz wyrostka robaczkowego.

Zdania lekarzy co do znaczenia tych organów są podzielone. W szczególności co się tyczy wyrostka robaczkowego, to uważa się go powszechnie za „organ szczątkowy", zupełnie niepotrzebny, a mogący stać się łatwo źródłem groźnej choroby. Wycięcie tegoż uchodzi zatem za zabieg dla organizmu ludzkiego nieszkodliwy, a mający niejako wartość prewencyjną.

Czy tak jest w istocie? Ciekawe światło na to zagadnienie rzucają przeprowadzone świeżo doświadczenia na królikach, którym operacyjnie usunięto ten wyrostek.

Zwierzęta zoperowane przez jakiś czas chudną, — następnie jednak przybierają z powrotem na wadze i przychodzą zupełnie do siebie. Dowodziłoby to, że operacja nie przyniosła im żadnej trwałej szkody.

Po zabiciu jednak takiego zoperowanego królika dostrzec można we wnętrznościach jego ciekawe zmiany anatomiczne i histologiczne. Oto tzw. ślepa kiszka, od której właśnie odgałęzia się ów wyrostek robaczkowy, uległa znacznemu zgrubieniu, ściany zaś jej, badane pod mikroskopem, wykazują znaczny przerost (hipertrofię) tkanki limfatycznej.

Szczegóły te nabierają właściwego znaczenia, skoro uprzytomnimy sobie, że właśnie wyrostek robaczkowy zawiera stale tkankę limfatyczną w bardzo znacznej ilości. A znaną nam jest doskonale rola tej tkanki w organiźmie ludzkim, jako producentki białych ciałek krwi, owych prawdziwych „łowców mikrobów", broniących organizm przed infekcją.

Nasuwa się tu więc prosty, a logiczny wniosek: natura sama naprawiła szkodę, wyrządzoną przez człowieka. Gdy zabrakło wyrostka robaczkowego, — ślepa kiszka przejęła jego funkcje; wyraża się to przerostem tkanki limfatycznej, dzięki czemu powstała z powrotem owa bariera, chroniąca organizm przed infekcją, — i to w miejscu leżącem w najbliższem sąsiedztwie usuniętego organu.

A czyż można choć na chwilę przypuścić, aby podobne zmiany w budowie histologicznej ślepej kiszki były rzeczą tylko przypadku, by nie wytworzyły się one tylko dlatego, że sama natura uważa je za celowe i konieczne?

* *

Doświadczenia te, przeprowadzone przez wybitnego fizjologa, dr. Portier, każą nam zrewidować dotychczasowe nasze poglądy na wyrostek robaczkowy, jako „organ szczątkowy i zbyteczny".

Nie tak to dawne czasy, kiedy najznakomitsi anatomowie określali taksamo i tarczycę jako organ szczątkowy i niepotrzebny. Jeszcze w r. 1835 pisał dr. Brachet: „Tarczycy nie możemy uważać za jeden z organów właściwych rodzajowi ludzkiemu, lecz za organ szczątkowy skrzeli ryb"...

A dziś zdajemy sobie znakomicie sprawę, jakie ogromne znaczenie ma owa tarczyca w rozwoju nietylko fizycznym, lecz i umysłowym człowieka.

Podobnie rzecz się ma z hypophysis, której rola w organiźmie znaną jest zaledwie od kilkudziesięciu lat.

Kilka tych przykładów wystarczy, by dojść do wniosku, że niema wogóle żadnych organów zbędnych. — że przeciwnie, w organiźmie naszym istnieje nadzwyczajna harmonja wszystkich bez wyjątku jego części składowych. harmonja, której bezkarnie gwałcić nie wolno, — chyba w razie konieczności potrzeby.

Gdy operacja jest nieunikniona, dając jedyną możliwość ratunku, nóż chirurga narusza tę harmonję i trzeba dłuższego lub krótszego czasu, zanim sama natura postara się o przywrócenie równowagi.

Zasadniczo jednak obowiązkiem naszym jest „zostawić naturę w spokoju", pamiętając o tem, że człowiek jest najdoskonalszym tworem Stwórcy. I jeżeli dotychczas nie zdołaliśmy zrozumieć i pojąć celowości jakiegoś organu, — przyczyny tego szukajmy w niedoskonałości naszego umysłu, który pomału tylko i z trudem ogarnia tajemnice natury i stworzenia.

(R.)

Polowanie na promienie kosmiczne

Podejmowane od pewnego czasu coraz częściej wyprawy uczonych badaczy do stratosfery, nasuwają siłą faktu pytanie, jaki jest ich cel właściwy, czego szukają ci uczeni na tych zawrotnych wysokościach.

Wyprawy te można krótko scharakteryzować jako „polowanie na promienie kosmiczne", stanowiące dotychczas jedną z niezbadanych tajemnic przyrody.

Promienie kosmiczne odkryte zostały w roku 1909 przez profesora Hesse'go, Austrjaka z pochodzenia. Badali je kolejno najwybitniejsi fizycy, jak Millikan, Compton, Lemaitre, Vallarta, stawiając rozmaite hipotezy co do ich źródła, intenzywności, kierunku, składu i t. p.

Wszystkie te hipotezy jednak nie dają dotychczas zadowalniającego wyjaśnienia. Zostawiając tedy tę kwestję na uboczu, omówimy tylko pokrótce istotę tych promieni i stosowane metody eksperymentalne, pozwalające stwierdzać ich istnienie i działanie.

* * *

Jak wiadomo — i o czem pisaliśmy niedawno na tem miejscu — każda materja składa się z atomów. Te ostatnie znów składają się z jądra, naładowanego elektrycznością dodatnią, dokoła którego krążą fragmenty naładowane elektrycznością ujemną, zwane elektronami.

Otóż atomy te, pod wpływem pewnych czynników jak: wyładowania elektryczne, promienie ultra - fjoletowe, promienie alfa i gamma, podlegają tzw. „jonizacji", wyrażającej się rozpadem jądra atomu, z przewagą elektronów dodatnich lub ujemnych.

Wszystkie te czynniki powodujące „jonizację" atomów posiadają stosunkowo słabą energję, a w ślad za tem i zdolność przenikania: wystarczy płyta ołowiana grubości dwóch centymetrów, by działanie ich zupełnie zneutralizować.

Mimo jednak tego rodzaju izolacji stwierdzić można wytwarzanie się jonów pod działaniem innych potężnych czynników, tak potężnych, że przenikają płytę ołowianą grubości 1 metra.

Czynnikiem tym są właśnie promienie kosmiczne, płynące nie z jakiejkolwiek substancji istniejącej na kuli ziemskiej, lecz z przestrzeni międzyplanetarnych. Jak wykazały doświadczenia Kolhostera, siła tych promieni wzrasta w miarę wznoszenia się w coraz wyższe regjony atmosfery. To samo już dowodzi niewątpliwie ich pozaziemskiego pochodzenia, — tłómacząc równocześnie niesłychaną trudność ich chwytania i dokładniejszego zbadania.

* * *

Przejdźmy teraz do praktycznej strony całego zagadnienia. Stwierdzonem zostało, że przynajmniej w obecnym stanie nauki — promienie kosmiczne uważać można niejako za jedyny instrument laboratoryjny, umożliwiający „rozbijanie atomów".

Że zaś przy „jonizacji" atomów, pod działaniem tych właśnie potężnych promieni, wytwarza się olbrzymia energja elektryczna, nie dająca się poprostu określić cyfrowo, — zatem nic dziwnego, że dążeniem uczonych jest opanowanie i odpowiednie wyzyskanie tej energji. Z chwilą, gdyby to się stało nastąpiłby poprostu przewrót, jakiego najbujniejsza imaginacja wyobrazić sobie nie zdoła. Ludzkość zdobyłaby niewyczerpane źródło energji, idące w miljardy kilowatów; podróże w stratosferze stałyby się rzecza codzienna, o ile wynalezionoby odpowiednie kompresory, — nawet podróż na księżyc przestałaby uchodzić za niezniszczalną fantazję.

Pod tym kątem widzenia wyprawy w stratosferę przestają być tylko teoretycznym eksperymentem, nabierając właściwego znaczenia.

* * *

Zanim do tego dojdzie, — uczeni konstruują niesłychanie skomplikowane przyrządy, prawdziwe „pułapki", pozwalające chwytać promienie kosmiczne i określać ich intenzywność.

Najdoskonalszą tego rodzaju pułapką jest urządzenie, zmontowane niedawno w słynnem laboratorjum w Cambridge przez fizyków Blackett'a i Occhialini'ego.

Polega ono na połączeniu tzw. „wilgotnej komory" (powszechnie w świecie uczonym znanego wynalazku C. Wilsona, ulepszonego przez japońskiego uczonego Szimizu) z „licznikiem Geigera".

Nie wchodząc w szczegóły zaznaczymy, że „wilgotna komora" jest cylindryczną skrzynką o ruchomem dnie, napełnioną wilgotnym gazem. Przez nagłe cofnięcie dna wywołujemy rozprężenie tego gazu, a jeżeli w tym samym momencie przeniknie do wnętrza komory promień kosmiczny, — pozostawia on po sobie widzialny ślad w w postaci delikatnej mgły, kondenzującej się dokoła tworzących się jonów. Ślad ten można, przy odpowiedniem oświetleniu, uchwycić na płycie fotograficznej.

Licznik Geigera składa się z metalowej rurki, o wysokiem napięciu (1000 do 2000 wolt), zawierającej gaz pod małem ciśnieniem. Skoro gaz ten poddamy działaniu promieni jonizujących wyswobodzone jony powodują małe wyładowania elektryczne. Powstaje prąd który przechodzi przez amplifikator, dzięki czemu można go dokładnie skontrolować i obliczyć.

Jedyną wadą licznika Geigera jest, iż reaguje on jednako na wszystkie czynniki jonizujące, a więc nietylko na promienie kosmiczne. Celem uzyskania koniecznej selektywności kombinuje się zatem „wilgotną komorę" z trzema licznikami, opatrzonemi w grube metalowe płyty, poprzez które tylko promienie kosmiczne zdolne są przeniknąć.

Dotychczasowe doświadczenia przeprowadzone z pomocą tych instrumentów nie dały jeszcze zadowalniających wyników. W każdym jednak razie posunęły już całą sprawę znacznie naprzód i pozwalają mieć nadzieję, że tajemnica promieni kosmicznych prędzej czy później zostanie wyjaśniona.

(R.)

Niemców zwyciężyło — radjo

Nieznane czyny bohaterskie wieży Eiffla

Będąc w Paryżu nie można nie zobaczyć wieży Eiffla. Jest ona wszechobecna ale wszędzie inna, zależnie od tego z jakiego miejsca się ją ogląda i o jakiej porze dnia i nocy. Z daleka, w dzień pogodny, to pajęczyna ryzykownie nad miastem rozpięta. Z bliska to cztery olbrzymie kończyny apokaliptycznego potwora zasłaniające sobą małą i odległą jego głowę. Patrząc poprzez te rozstawione szeroko stopy widać z jednej strony rozłożone pięknie terasy i dziwacznie orjentalne kształty Trocadera, z drugiej zaś rozległe trawniki, aleje i ulice Pola Marsowego. W nocy wieża rozbłyska światłami, sygnałami, reklamami jak płomienisty rysunek nad ciemnością nocy pozostającą w ustawicznej walce z miljonowemi światłami olbrzymiego miasta.

Ale wieża Eiffla, to nietylko widok, nietylko cel wycieczek, nietylko obszerna restauracja ale i stacja radjowa, najpotężniejsza we Francji. Szumy i zgrzyty idą wzdłuż potężnych wiązań wieży, głosy rozchodzą się na cały świat, ale sama wieża skromnie milczy. Gdyby mogła przemówić i opowiedzieć coś ze swoich własnych dziejów, toby napewno pochwaliła się rolą, którą odegrała w czasie wielkiej wojny światowej. Wieży Eiffla bowiem wraz ze znajdującą sią na niej stacją należy się order i to nie byle jaki.

Już w roku 1916, a więc w samym środku wojny, pojawił się w paryskim dzienniku „Figaro" artykuł p. t. „Prawdziwy zwycięzca z pod Marny". Zwycięzcą tym była — wieża Eiffla a więc nie Joffre nie Gallieni, nikt inny z plejady wielkich i świetnych wodzów ale właśnie ten żelazny olbrzym powołany do życia przez wielką wystawę światową w roku 1900.

Generał francuski Cartier, szef służby łączności w czasie wojny, dzisiaj sprawujący pokojowe zgoła funkcje dyrektora paryskiego „Radio Magazine", udziela w wywiadzie szeregu szczegółów w sprawie roli odegranej przez wieżę Eiffla w czasie wojny.

Dzięki wieży i jej stacji można było ustawicznie śledzić posuwanie się armji niemieckiej poprzez Francję i informować o tem natychmiast naczelne dowództwo armji francuskiej.

Już przed wojną radjo francuskie umiało odczytywać emisje stacji niemieckich w Metzu, Strassburgu, Kolonji. W ten sposób francuscy specjaliści radjowi mogli łatwo odczytać pierwsze radjogramy nadawane przez wojskowe stacje niemieckie. Telegramy te przeważnie były szyfrowane, ale znajdowały się w nich i słowa nieszyfr. przeważnie nazwy geograficzne. Zdarzały się jednak i radjogramy zupełnie nieszyfrowane, zaopatrzone w podpis wysyłającego. Był to wielki błąd popełniony przez niemiecką służbę łączności.

Dzięki temu dowództwo francuskie dowiedziało się natychmiast, że gen. von Marwitz dowodzi korpusem kawalerji oznaczonym literą S., a generał von Richthofen dywizją korpusu oznaczoną literą G. Dzięki przejętej depeszy radjowej dowiedzieli sie również Francuzi, że dwie dywizje kawalerji niemieckiej wkroczyły do Woevre. Wiadomości te dostawały się równocześnie do wiadomości głównego dowództwa francuskiego jak i niemieckiego. Podobnie dowiadywali się Francuzi o ataku na Belgję, o przekroczeniu północnej granicy francuskiej i o marszu na Paryż.

Dzięki tym przyjętym telegrafom dowództwo francuskie orjentowało się znakomicie w składzie i ruchach poszczególnych, armij, korpusów i mniejszych oddziałów niemieckich: pierwsza armja von Kluck; II armja, drugi korpus kawalerji, generał von Marwitz i td itd.

2. września 1914. w pełnym toku bitwy pod Marną, główna kwatera francuska dzięki wieży Eiffla dowiedziała się o ruchach prawego skrzydła zagrażającej Paryżowi armji von Klucka. Wszystkie rozkazy tak von Klucka jak i niemieckiego następcy tronu w chwilę po wydaniu znajdowały się na biurkach wodzów francuzkich.

7. września o 11 m. 15 wieża Eiffla informowała, że Włochy rozpoczynają odwrót. Pierwsza armja niemiecka — tak brzmiała treść przejętej depeszy — domaga się natychmiast wysłania posiłków. „Interwencja korpusów 3 i 9 nad rzeką Ourcq musi nastąpić natychmiast" brzmiała prośba zaniepokojonego w najwyższem stopniu niemieckiego dowódcy. Tego samego dnia o godzinie 14-tej radjo 3-ciej armji niemieckiej donosi: „Cesarz opuszcza 3 armję i wraca do Luxemburgu. — 9. września o 15.15 wieża Eiffla przejmuje pierwszy rozkaz niemiecki nakazujący odwrót. 10 września o 7.45 główne dowództwo niemieckie zarządza ogólny odwrót. Z jakiem wzruszeniem obsługa wieży Eiffla odczytała pierwsze iskrowe słowa szefa sztabu von Moltkego: „Do armji niemieckiej... cesarz zarządza..." był to rozkaz w którym Wilhelm II. powstrzymał pochód na Paryż.

Z ogromnej roli radja francuzkiego zdawali sobie sprawę nietylko Francuzi, co było rzeczą oczywistą, ale i Niemcy. Rywal generała Cartier po stronie niemieckiej, pułkownik Nicolai, szef niemieckiej służby łączności, przyznał wyraźnie, że radjo wojskowe francuzkie uzyskało przewagę nad swoim niemieckim rywalem.

Niewątpliwie i w czasie nowej wojny zarówno radjotelegrafja jak i radjofonja odegrałyby ogromną rolę i wyzyskałyby wszystkie postępy i wynalazki, które poczyniono w tej dziedzinie. Używanoby maszyn szyfrowych, maszyn odczytujących szyfry, maszyn, które utrudniają emisje przeciwnika i przeciwdziałają im...

Na razie radjo francuskie po pewnym okresie zastoju przystępuje do nowych prac, pragnie się wydoskonalić. We Francji, jak wiadomo, nie istnieje monopol państwowy na radjo, ale wpływy państwa w tej dziedzinie ustawicznie wzrastają. Wykupuje się prywatne stacje, tak, że obecnie znajdują się tylko dwie wielkie prywatne stacje — jedną z nich jest Poste Parisien, będący własnością największego dziennika we Francji i na świecie, „Le Petit Parisien" i radjo Toulouse, będące własnością wielkiego tamtejszego dziennika „Depeche de Toulouze".

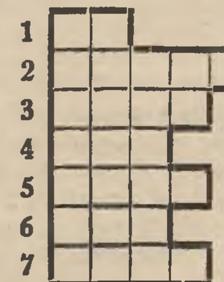
Równocześnie buduje sie nowe wielkie stacje radjowe a więc koło Paryża stację Villedon i cały szereg innych nowych stacji w Nicei, Marsylji, Lyonie, Tuluzie o sile 60 — 120 kw. Jednem słowem wieża Eiffla otrzymuje godne siebie koleżanki i nie będzie się mogła uskarżać na bezrobocie ani na zapomnienie.

(Ś.)

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Eliminatka

(ułożył „John Ly“)



1, Oparcie koła.
2) Płaskie wybrzeże.
3) Dopływ Sanu.
4) Meta, kres.
5) Kolejność zdarzeń.
6) Słynne uzdrowisko w Nadrenji nad rzeką Lahn.
7) Smarowidło.

„Klucz“ = środek lokomocji powietrznej (wyraz 7 literowy). Po wyeliminowaniu z każdego odgadniętego wyrazu liter, wchodzących w skład „klucza“, otrzymamy rozwiązanie (13-literowe).

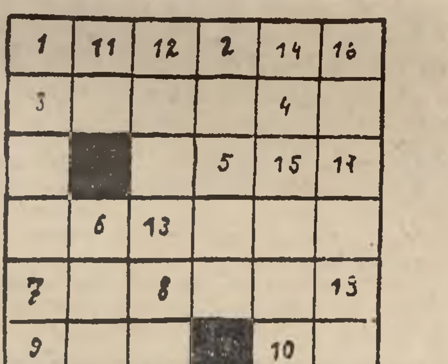
Zagadka

(uł. M. A. z Del.)

Jestem potężną — wielką królową
ubraną zawsze w szatę godową.
Gronostajowe w zimie noszę biele,
zaś z wiosną, gdy zabrzmią ptasząt kapele,
zamieniam swój biały ubiór książęcy,
na szatę o cudnych odcieniach tęczy...
Głowę przystrajam jasnym woalem,
wyglądam pięknie i okazale!..
Posłuchań udzielam zimą i latem —
sojusz zawarłam już z całym światem.
Skarbem piękności swej z każdym się dzielę
Karmię radością — poję weselem. —
Z trzech zgłosek tylko składa się me miano. —
Ostatnia tworzy nutę dobrze znaną.
Dwie pierwsze męża dzielnego nazwisko,
Co szefa państwa dzierżył stanowisko!.

Krzyżówka sylabowa

(ułożył „Ski“)



Poziomo: 1) wymiana myśli, 2) miasto na Pomorzu, 3) cenne tkaniny, 4) „dobrodziejstwa“, 5) palne szmaty, 6) stacja węzłowa w Małop. wschodniej, 7) klęska żywiołowa, 8) rodzaj ściennych dywanów, 9) „bijatyka“, 10) rodzaj pantominy tanecznej.

Pionowo: 1) stała piosenka w Genewie, 7) częsty na naszych drogach, 11) miasto na półw. arabskim, 6) rodzaj zupy, 12) siedziba papieży, 13) rodzaj futra, 2) barwik, 5) wytrawny miód, 14) miasto w Rosji. 15) miasto w Brazylji, 16) „zarobki“, 17) służy do wiązania ogrodnikowi, 18) potrawa mięsna.

Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

Kartel, kosa, broda, krój, warga, niska, krew, mocny, maj, łuski.

W każdym z tych wyrazów należy zmienić dwie sąsiednie litery, tak, by powstały nowe wyrazy o następującem znaczeniu:

1) podstęp, 2) znają tennisiści, 3) rodzaj okrycia, 4) legendarny założyciel Krakowa, 5) rzeka w Rosji, 6) kaleka, 7) zajęcie wiosenne rolnika, 8) zamącony, 9) siła, 10) zarobki.

Litery wstawione, czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

Szarada

(ułożył „John Ly“)

Niejedna Zosia, Jadzia czy **Pięć - pierwsza**
drży i serduszko jej mocno uderza
do skrzydlatego rycerza..
Cztery! Nawet męski, twardy duch
mięknie z zachwytu, gdy on — zuch
w podsłoneczny idzie **trzeci**
i leci...
Leci **dwa - piąty** wiary szaleństwem
i wraca **dwa - piąty** zwycięstwem
i cały.. **Cały** —
dla Polski i własnej chwały..

Igraszki słowne

(ułożył M. A. z Del.)

1.

W samogłosce część oblicza:
ruch swobodny ogranicza.

2.

Gdy za nutą stanie miecz, —
pobić czasem, — trudna rzecz.

3.

Jeśli nuta coś posiada, —
głosi, krzyczy, opowiada.

4.

Rodzaj broni za literą:
sławi czyny bohaterów.

Zagadka lawinowa

(ułożył „John Ly“)

Poczynając od jednej litery, dodawać po głosce tak, by — w stosownem zestawieniu liter — powstawały wciąż nowe wyrazy o podanych znaczeniach.

1) Samogłoska. 2) Miara powierzchni 3) Atleta polski. 4) Wyżyna w Azji. 5) Imię żeńskie. 6) Łaźnia. 7) Pierzyna 8) „Dręczone“. 9) Instrument muzyczny.

Rozwiązania z dopiskiem „Dział rozrywkowy“ nadsyłać należy do Redakcji najdalej **do środy, 3 października br.**

Za trafne rozwiązanie do rozlosowania jako nagroda powieść z ostatnich nowości beletrystycznych.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 248

Przestawianka: 1) Jaje — ej! aj! 2) Arki — ikra, 3) Kuba — Baku, 4) kuro — urok, 5) urok — kuro, 6) bróg — grób, 7) Argo — ogra, 8) bale — bela, 9) okaz — koza, 10) gala — alga, 11) umył — łumy = Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Fraszka: Miła nagroda.

Szarada: Prawda w oczy kole.

Zagadka: Okoń.

Arytmograf: Klagenfurt.

Gwiazda: Kawaler, baryton, koralik, kateter, Boliwja, Natalja

ROZWIĄZANIA NADESŁALI

Ze Lwowa: pp. Marja Dworska, Wład. G., Sigma, „Arja“, „Ceś“. M Zygmuntowicz, A. Kieszkowska, Mich. Łesiuk, M. Angielczykowska, J. Kwiczoll, Ir-ka, Ir-wu, Z. Kiernicka, Hel. Kowalska, M. Szydłowska, Roman H., Mich. Haichowa, inż. J. W., E. Boczarska, J. Koberwein, M. Ruxerówna, Bron. Ostrowski, W. Smolicka, F. Brzuchowski, Eug. Dworski.

Z poza Lwowa: pp. M. Alexandrowicz (Delatyn), M. Lityńska (Przemyśl), ks. Wład Zubek (Wielowieś), Marja Potocka (Sanok), Cz. Murczyński (Kraków), Tad. Dworski (Sanok), „Espe“ (Kraków), „Olga“ (Jarosław), Kaz. Jurkiewicz (Śniatyn), Hel Mokrzycka (Drohobycz), M. Kański (Kraków), I. Wilkowa (Rzeszów), J. Tomaszewska (Truskawiec).

Nagrodę uzyskała p. **Wanda Smolicka** we Lwowie. Książka jest do podjęcia w naszym Kantorze.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Sp. Krz. Dziękujemy, „Czarno na białem“, a jakże!..

Irena S. Treść listu zakomunikowaliśmy naszej administracji. Rozrywki dla młodzieży nie wchodzą do całości, tem mniej wszyscy prawie czytelnicy nadsyłają nam rozwiązania i z tego działu

J. K. Zupełna racja! Trzeba interwenjować w naszym Kantorze. My z naszej strony zarządziliśmy co należy.

Ciekawostki radjowe

Ze szczytów alpejskich do Ameryki Radjostacja w Bernie szwajcarskiem nadaje dnia 23 bm. niezwykłą audycję ze szczytu Jungfrau. W audycji tej, nadawanej częściowo w języku angielskim biorą udział radjoreporterzy, przewodnicy alpejscy, kierownik instytutu astronomicznego, śpiewacy i kapela.

Audycja przeznaczoną jest dla Ameryki i transmitowaną będzie przez wszystkie stacje National Broadcasting Company.

Japonja — Czechosłowacja. Dnia 20 października br. nastąpi w Tokio otwarcie obrad Międzynarod. Kongresu Czerwonego Krzyża. Uroczystość otwarcia transmitowaną będzie bezpośrednio z Tokio przez czechosłowackie radjostacje.

Najmłodsza „gwiazdka“ radjowa. Jest nią bezsprzecznie sześcioletnia Lea Deutsch, produkująca się w radio w Zagrzebiu. Młoda „artystka“ występuje już od roku w tamtejszym teatrze i ma już własny, dość bogaty „repertuar“, z którym wystąpiła niedawno przed mikrofonem.

Radjoreportaż w... łazience. Znany sportsmen Ch. Edwards, ulubieniec radjosłuchaczy nowojorskich, wygłosił niedawno pogadankę na temat kąpieli i ich wartości. Dla zrobienia odpowiedniego „nastroju“ polecił wstawić mikrofon do swej łazienki, gdzie pluskał się we wannie, przy akompanjamencie wody, tryskającej z tuszu...

Ci, których słyszymy przez radjo



Prof. Jan Bolesław Liwoczyński
autor szeregu felietonów turystyczno krajoznawczych.

Ze świata książki

Mieczysław Smolarski: „Wino młodości“, powieść. (Wyd. Wacława Pawłowskiego, Warszawa 1934).

Autor licznych, a cieszących się dużą poczytnością powieści fantastycznych, sięgnął tym razem do „różańca wspomnień“, dając nam opowieść z niedawnej stosunkowo przeszłości. Z owych młodzieńczych wzlotów, z owych dni górnych i chmurnych, jakie przeżywała młodzież uniwersytecka w murach Krakowa, w okresie „Młodej Polski“, „przybyszewszczyzny“ i jamy michalikowej.

Przesuwa się przed nami korowód postaci, związanych zapałem do czynu, do pracy, do stworzenia czegoś wielkiego, — postaci, w których niejeden ze starszych czytelników rozpozna swego dawnego znajomego. Jednodniowe sławy i wielkości, w ciasnym kręgu swych zainteresowań i ambicyj, ożywione jednak wyższą ideą, idące w życie z ufnością i tą pewnością siebie, jaką daje tylko młodość.

Powieść czyta się łatwo i z zainteresowaniem.

Jadwiga Gamska - Łempicka: „Między niebem a ziemią“, poezje. (Wyd. Księgarni Gubrynowicza, Lwów 1934).

„Między niebem a ziemią zawisłam... między bezdnem a ziemią spękaną..,
„patrzy przezemnie ku górze krwią nabiegłem, straszliwem wejrzeniem
„ziemia szara jak popiół, nie śmiejąca się żadnym promieniem...“

Wybucha skargą żałosną autorka na wstępie.

Motyw ten przewija się niejednokrotnie w całym tomie, wygrywany na coraz inną, smętną nutę.

W prześlicznym „Wierszu do policjanta“ skarży się, że

„mijają mnie w pollie jak zjawy
pogrzeby, wesela, sław twarze,
lecz żaden mi orszak łaskawy
za sobą pójść dalej nie każe...

Gdzieindziej znów ucieka przed „Kamienicami“, przed kamiennym smokiem miasta, co czai się na każdym kroku, chcąc zabić żywe, gorące serce.

Umie jednak zdobyć się i na słowa proste, słodkie jak miód lipowy:

„Szeroko wywrę dziś podwoje —
witajcież mi, mili goście!
rozradowane serce moje
odeszło swojej codzienności...“

I śpiewa nam o owem przedwiośniu, o romantyźmie, którego

„Kleiner nas uczył... w uniwersytecie... i błogosławi wiośnie i ziemi, ufnie wyczekując swego szczęścia.

Zbiórek zamyka pełen sugestywnej mocy „Porucznika Żwirki pojedynek ze śmiercią“ i przepiękny wiersz: „Do „Pana Tadeusza“, owej „Księgi tęskniących, biblji pielgrzymów, dążących w kraj cieni“.

Jakkolwiek tu i ówdzie trafią się rzeczy słabsze, rażące sztucznością i przesadną emfazą („Agnus Dei“, „Do wiosny zamiast hymnu“), — to jednak naogół czuje się, że autorka ma rzeczywiście dużo do powiedzenia, posiada dar swoistego percypowania wrażeń i odtwarzania ich w oryginalnej formie.

Książka wydana wyjątkowo starannie, w pięknej, estetycznej szacie.

PAWEŁ HEYST: Ostatnia fajka Andrzeja Clair, powieść sensacyjna. (Wydawnictwo Polskie, Poznań).

Niesłychanie zawiła i emocjonująca historja pewnego wynalazku, mającego doniosłe znaczenie dla przemysłu wojennego. Pełno w nich tajemniczych morderstw, karkołomnych pościgów i ucieczek, zanim bohater powieści, genjalny oczywiście detektyw, nie odkryje ostatecznie tajemnicy „ostatniej fajki Andrzeja Clair“.

Powieść, z typu sensacyjnych, ma jednak tę wadę, że skutkiem przeładowania treści tysiącem faktów i wypadków czytelnik poprostu gubi się w tym chaosie, z trudem tylko i z pewnym wysiłkiem ścigając jej wątek.

(kr.)

BIBLJOGRAFJA

F. A. Ossendowski: Polesie (Wydawnictwo Polskie R. Wegnera, Poznań).

Paweł Heyst: Ostatnia fajka Andrzeja Clair Wyd. Polskie. Poznań).

A. Kawczyński: Mężczyźni dokoła Eweliny (Wyd. Polskie, Poznań).

Jo van Ammers-Küller: „Jabłko i Ewa“, powieść. (Wyd. „Płomień“, Warszawa).

Jan Wielowieyski: „Bohaterskie Loty“. (Wyd. „Płomień“, Warszawa).

L. Sieczanin. Żywot świątobliwej Joasi Młynkówny ze Sierczy. Kraków, str. 130.

X. Dr. Władysław Kuc: „Historja cudownego obrazu Matki Boskiej Bocheńskiej. Kraków 1934. Str. 63.

X. Dr. Władysław Kuc: „Trjumf Marji Królowej różańca świętego“. Bochnia 1934. Nakładem autora. str. 101.

Muzyka w programach zimowych
Polskiego Radja

Audycje muzyczne, stanowiące lwią część programów radjowych, nabierają szczególnego znaczenia w sezonie zimowym stanowiąc najmilszą i najszlachetniejszą rozrywkę dla tysiącznych rzesz słuchaczy.

Nie dziw zatem, że wszystkie rozgłośnie przygotowują się z wyjątkową starannością do nadchodzącej kampanji, że wytwarza się pewnego rodzaju szlachetna emulacja, na której oczywiście najlepiej wychodzą słuchacze.

Odkładając Warszawę na później, — zajmiemy się dziś omówieniem programów i planów innych stacyj, na podstawie materjału, jaki w tej chwili mamy do dyspozycji.

KRAKÓW

Miasto nauki, miasto wybitnych uczonych, kładzie największy nacisk na odczyty, pogadanki, reportaże z pracowni naukowych, wywiady z uczonymi itp. Zupełnie zresztą słusznie. Na tem polu Kraków ma niemal monopol, specjalizuje się niejako.

Tem niemniej rozgłośnia krakowska zapowiada rozbudowę programu muzycznego, koncerty zespołów kameralnych, solistów, — ewentualnie i transmisje opery krakowskiej.

POZNAŃ

Program zimowy przewiduje stałe własne koncerty w każdą niedzielę od godz. 2—3 popoł., — oraz dwa razy w miesiącu (w drugą i czwartą niedzielę) wieczorne koncerty kameralne lub występy solistów (godz. 8—8.45 wiecz.).

Pozatem — w ramach audycyj regionalnych — dążyć będzie Poznań i nadal do jaknajdalej idącej decentralizacji programów muzycznych, popierając równocześnie rozwój muzyki oratoryjnej, operowej, kameralnej, oraz pieśni chóralnej.

Stacja poznańska ma tu duże i wdzięczne pole do pracy, — Poznań bowiem jest bardzo ruchliwem środowiskiem muzycznem i posiada cały szereg poważnych instytucyj muzycznych i pierwszorzędnych sił muzycznych i śpiewaczych.

WILNO

„Specjalnością“ niejako rozgłośni wileńskiej są słuchowiska muzyczne, zmontowane z elementów poezji, muzyki i tekstu. Ten typ będzie i nadal kultywowany, a cieszy on się ogólnym poklaskiem radjosłuchaczy. Tematy czerpie się zarówno z życia sławnych osobistości, jak i życia ludów, z różnych epok i środowisk.

Nie można też nie wspomnieć o słynnej już dziś „Kukułce wileńskiej“ (nadawanej w ostatnią sobotę każdego miesiąca, na zakończenie programu dziennego).

Integralną część tych błyskotliwych pełnych humoru, a zaprawionych nierzadko żądłem ostrej satyry, produkcyj stanowi jej strona muzyczna, opracowana zawsze bardzo starannie przez najlepszych wileńskich „speców“.

LWÓW

A wreszcie Lwów. Nie będzie w tem ani odrobiny przesady, jeśli powiemy, że i na tem polu Lwów bezapelacyjnie przoduje. Bo też ma po temu idealne warunki.

A więc: doskonałe koncerty symfoniczne z Filharmonji, które będą transmitowane na całą Polskę.

Dalej koncerty oratoryjne Pol. Towarzystwa Muzycznego, które przygotowuje na sezon zimowy takie arcydzieła jak „Requiem“ Brahmsa i IX. symfonję Beethovena!

A gdzież znajdziemy w kraju lepsze zespoły od lwowskiego Kwartetu Pol. Towarzystwa Muzycznego, który w roku zeszłym zdobył I. nagrodę na konkursie warszawskim? Tak samo i trio: prof. Czapliński, dr. Steinberger i prof. Danczowski ma już ustaloną sławę, daleko poza rogatkami Lwowa.

Wspomnieć jeszcze trzeba o „lwowskich rewellersach“ ze znakomitym chórem „Eryana“ na czele. Poważną konkurencję zaczyna mu robić drugi zespół „Wesoła Piątka“, posiadający pierwszorzędne głosy i bardzo oryginalny materjał muzyczny.

Dodajmy do tego występy popularnych chórów i zespołów mandolinowych, — a przyznać trzeba, że lwowska rozgłośnia godnie podtrzymuje tradycje „najmuzykalniejszego miasta w Polsce“.

O ilustracji muzycznej „Wesołej lwowskiej fali“ mówić nie potrzebuję. Nie mając najmniejszej aspiracji do miana „poważnej“, — muzyka ta spełnia bez zarzutu swe właściwe zadanie: rozjaśnia uśmiechem twarze, zasępione troskami dnia powszedniego... **(N.)**

Wieczory Lwowskie

Ciekawe zjawisko możemy obserwować we współczesnem polskiem życiu. Obok zupełnie słusznej i godnej pochwały unifikacji prawnych form oraz urządzeń państwowych i społecznych, obserwujemy nie zawsze słuszną centralizację i standaryzację, obejmującą olbrzymi zasięg naszej egzystencji. Jasnem jest, że podłoże tego zjawiska leży w tem, iż za najgłówniejsze zadanie chwili bieżącej uważa się — bezwzględne ujednostajnienie wszystkich istniejących zróżnicowań. Tymczasem życie wysuwa może inne postulaty na plan pierwszy. Oczywiście i bezwzględnie nie może być mowy o jakichś choćby najdrobniejszych separatyzmach na terenie państwa polskiego.

Ale czy jest słuszne nieuwzględnianie niektórych taksamo regionalnych różnic charakteru Polaków, miast wykorzystywania ich w rozmaitych kategorjach pracy dla państwa? Nad tem należałoby się zastanowić. Pierwsze — a wyłaniające się z tego zagadnienia — zasadnicze pytanie: czy różnice wynikające z indywidualności regionalnych dają się zauważyć nietylko w życiu powszedniem, ale również na szerszej arenie twórczości i działania — wymagą uwzględnienia w odpowiedzi obszernego materjału porównawczego. Drugie pytanie czy te różnice zaznaczające się w życiu, potrafią stworzyć kulturalny ośrodek, nietylko zaspakajający własne potrzeby, ale również promieniujący na całą Polskę i przyciągający ludzi z innych środowisk — również wymaga dowodowego przedstawienia.

Ale, by otrzymane odpowiedzi na postawione pytania mogły znaleźć uznanie u społeczeństwa, muszą być wykorzystane w odpowiedziach dowody — niejako „ad oculos“ przedstawione i to w takiej formie, by przyjęcie ich za słuszne — choćby z najdrobniejszych powodów nie następowało żadnych trudności. Dobrym ku temu środkiem może być radjo, które w życiu współczesnem odgrywa coraz to większą rolę, dając nietylko produkcje oraz rzeczy niedyskusyjne, ale wprowadzając wielki dział spraw aktualnych i polemicznych, z każdej niemal dziedziny życia i kultury.

I właśnie powstała nowa audycja, mająca ilusrować dorobek kulturalny Ziemi Czerwieńskiej. Tytuł jej: **„Wieczory Lwowskie“**, a nadawać ją ma — w każdy drugi wtorek miesiąca — rozgłośnia lwowska. Zapowiedź tej nowości słyszeliśmy już w jednej z dawniejszych pogadanek dyrektora progr. rozgłośni lw., z niecierpliwością też czekaliśmy na jej inaugurację, która odbyła się 11 b. m.

Jakkolwiek pierwsza z tych audycyj miała raczej charakter dyspozycyjny, to jednak w całej pełni odsłoniła istotę podjętego zadania, trzeba przyznać — z wszechmiar ciekawego i godnego pełnego uznania. W krótkiej przedmowie **dyr. J. S. Petry** zaznaczył, że celem ich jest unaocznienie tych wszystkich walorów kulturalnych, naukowych i artystycznych, jakie dzieci Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej wniosły do skarbca naszego dorobku narodowego. Następnie **prof. U. J. K. dr. St. Łempicki** omawiał „typy i temperamenty synów Ziemi Czerwieńskiej“, którzy w ciągu wieków zajaśnieli żywszym blaskiem na tle naszej historji; była to zarazem niejako zapowiedź, komu następne wieczory będą poświęcone. Pierwszy ten wieczór dopełniała jeszcze recytacja wiersza **Kazimierza Brończyka** i fragment z oratorjum **M. Sołtysa** „Śluby Jana Kazimierza“ pięknie wykonany przez chór męski „Bard“.

Całość pierwszego wieczoru była tak ujmująca, że trudno niemal powiedzieć co bardziej zasługuje na podkreślenie: czy artyzm i wysoki poziom pierwszej tej audycji, czy raczej głębokie zadowolenie z powodu podjęcia tego rodzaju nowości programowej. Zdaje się — że jedno i drugie równocześnie. Rozwój produkcyj rozgłośni lwowskiej — w tej audycji — osiągnął nowy etap swej ewolucji. **r. R.**

PIOTR FREUCHEN 86

ESKIMOS

Autoryzowany przekład Ireny Łozińskiej

Gdy podeszli do sań i zobaczyli kto przyjechał byli nieco zakłopotani. Że Malę schwytano, o tem wiedzieli wszyscy. Ale jedni opowiadali, że ma być powietszony, a drudzy znowu, że zawarł przyjaźń z białymi ludźmi i żyje z nimi. Słyszeli, że zajmuje wysokie stanowisko. Jeździ policyjnymi psami, poluje policyjną bronią a do stołu siada razem z sierżantem. W każdym razie nie wiedziano całkiem pewnie, czy Mala jest już zgubionym człowiekiem, czy też jest tym, kogo trzeba będzie obawiać się, gdy jego sprawa zostanie załatwiona.

Mala powziął natychmiast plan działania. Zeskoczył z sani.

„Przyjechało się tutaj, bo policja jest w podróży“, powiedział. „Ja jadę przodem na północ i buduję domy śnieżne, by mogli zaraz gdy nadjadą wypoczywać po całodziennej podróży. Dajcie mi pożywienie dla psów i pozwólcie przespać się chwilę. Muszę prędko jechać dalej, więc nie mogę pozostać tu długo“.

Weszli do domu Eskimosa, który był w lecie u łowców wielorybów i ślepo słuchał Mali.

„Dwa moje psy są zmęczone, chcę pozostawić je tutaj. Pożycz mi swoje oddam ci je, gdy wrócę. W podziękowaniu dam ci po powrocie tytoniu“.

„Moje psy są twojemi, weź wiele chcesz“, odpowiedział ów człowiek i sprawa została załatwiona.

Zgotowano mięso a Mala zjadł dużo.

„Życzę sobie, żeby psy były nakarmione dobrze ale nie zanadto. Jeżeli dostaną za dużo, nie będą mogły biegnąć daleko, a ja chcę jeszcze zapolować na reny“.

Rozmawiali przez chwilę i Mala przekonał się, że dotąd nic nie słyszeli o przyjeździe inspektora. Znali tylko sierżanta, konstabli i Malę, z owych czasów, kiedy zajmował wybitne stanowisko w domu policjantów.

Mala był zdecydowany. Nikt nie może go schwytać. Zaczął czyścić strzelbę. Czyścił ją zewnątrz i wewnątrz a równocześnie rozmawiał z nimi o broni i wreszcie pokazali mu swoje strzelby. Do jednej z nich nadawały się jego naboje.

„No“, pomyślał Mala, „tę muszę im zabrać. Chociaż jest stara, jednak jest strzelbą, a ja muszę mieć broń, gdyż inaczej źle będzie ze mną“.

„Dokąd macie zamiar jechać teraz?“ zapytał Mala. „I skąd przybyliście tutaj?“

„Byliśmy na północy, koło Tajarnak i polowaliśmy tam na lisy. Teraz jedziemy do domu policjantów, żeby przehandlować tam swoje futra. Zatrzymała nas tutaj burza, ale jutro ruszamy w drogę i staniemy tam niedługo“.

„Nie róbcie tego“, odpowiedział Mala, „bo sierżant jedzie tutaj. Potrzebuje pożywienia dla psów i będzie się bardzo cieszył, jeżeli będzie mógł przespać się u was. Pozostawiłem go wraz z dwoma policjantami w czasie wielkiej burzy śnieżnej. Teraz jadą do domu, gdyż chcą poczekać tam na lepszą pogodę, a za kilka dni będą u was. Potrzebuja pomocy przy przeprawie przez fiord i dobrze za to zapłacą. Dlatego powinniście tu zaczekać na nich“.

Jego słowa były rozumne i zrozumiałe. Wszystkie trzy rodziny postanowiły czekać na policjantów.

„Moja ręka jest chora“, powiedział Mala, „patrzcie, jaka gruba. Czerwone pręgi aż do samego ramienia“.

Doświadczony, stary człowiek oglądnął jego ramię.

„Powinieneś leżeć z powodu tej ręki. Nie wychodź na mróz, tylko leż spokojnie. Widziałem ludzi, których ramiona stały się nieużyteczne dlatego, że dusza opuściła ich ciało przez ranę w palcu, który skaleczyli. Lepiej zaczekaj tu, aż dusza odszuka swoje mieszkanie w ręce, gdyż w przeciwnym razie bedzie się mściła i możesz z tego umrzeć.“

Ale Mala nie chciał czekać.

„Niema niebezpieczeństwa, tylko jest źle, że moja chora ręka nie może dobrze władać tą strzelbą. Pożycz mi swoją“, powiedział Mala do Eskimosa, posiadającego strzelbę, którą chciał zabrać. „Z twojej strzelby mogę łatwo strzelać. Jest o wiele lżejsza od mojej. Tymczasem możesz moją zatrzymać, aż do mego powrotu“.

Patrzono na siebie ze zdziwieniem. Niezwykły pomysł. Ale Mala nie był człowiekiem któremu można się sprzeciwiać. Eskimos dał swoją strzelbę, a wzamian wziął strzelbę Mali.

Niedługo potem ułożyli się do snu, ale Mala prawie całkiem nie spał. Bolała go ręka, ramię piekło i obawiał się, że ci ludzie powiedzą jego prześladowcom, w którą stronę pojechał.

Ach, gdyby jednak mógł przespać się chwilę i dopiero potem ruszyć w drogę! Zdrzemnął się raz, albo dwa razy, ale natychmiast budził się przestraszony i zanim zaczęło świtać, zanim mógł ktoś pomyśleć o wstaniu, był już ubrany, wyszedł na dwór, zaprzągł psy i odjechał, zanim spostrzeżono, że jest gotów do podróży.

W domu, w którym spał, powiedział tylko, że musi zobaczyć, co jego psy robią.

„Mala odjechał. Dziwny z niego człowiek. Ale musimy tu czekać na białych ludzi. Mala zna ich myśli i wie, czego oni sobie życzą“.

(C. d. n.)

Fotografika sowiecka

Tak się już jakoś składa, że lwowskie Muzeum Przemysłu Artystycznego od dłuższego już czasu ujęło inicjatywę i stworzyło sobie pewnego rodzaju monopol na urządzanie wszelkich wystaw.

Sprzyja temu znakomicie centralne położenie samego gmachu i doskonały rozkład wewnętrzny sali — w jeszcze większej jednak mierze jest to zasługą niezmordowanego dyrektora Muzeum, prof. Kazimierza Hartleba, który zapobiegliwie troszczy się o to, by co pewien czas zapoznać mieszkańców Lwowa z tym czy innym działem sztuki współczesnej lub dawniejszej.

Jedną z ciekawszych jest otwarta nie dawno wystawa fotografiki sowieckiej, urządzona wspólnie z Lwow. Towarzystwem Fotograficznem.

Ciekawą już z tego choćby względu, że dotychczas o sztuce sowieckiej mieliśmy przeważnie wiadomości z drugiej ręki, nieskontrolowane i nie dające się skontrolować z autopsji.

Tembardziej zaś, o ile idzie o sztukę fotograficzną, która właśnie na Zachodzie doszła do najwyższego stopnia



Batoniarz

wydoskonalenia, zarówno pod względem techniki, jak i tematu i sposobu podejścia do tegoż.

Wystawa lwowska była poniekąd niespodzianką. Przedewszystkiem pod względem artystycznym. Oglądając te pareset eksponatów, musimy przyznać, że fotograficy sowieccy potrafią znakomicie operować perspektywą, światłocieniem, potrafią wyszukiwać tematy oryginalne i wyzyskiwać je możliwie najlepiej.

Nie można im brać za złe ani dziwić się, że pociągają ich przedewszystkiem maszyny, traktory, dymiące kominy fabryczne, świat pracy. Nie można dziwić się tym, specjalnie jak się zdaje ulubionym, skośnym obcięciom, przyczyniającym się do spotęgowania zasadniczego efektu. Wszystkie tego rodzaju zdjęcia mają niewątpliwie do pewnego stopnia charakter propagandowy i pod tym kątem patrzeć na nie należy.

Ale obok tego — cała masa zdjęć, w których samo ujęcie tematu idzie w parze z artystycznem jego opracowaniem, zdjęć, nieustępujących w niczem zupełnie najlepszym pracom artystów Zachodu.



Kosiarz

Poważny procent stanowią przepiękne zdjęcia dzieci i młodzieży, przy pracy, nauce lub na boiskach sportowych. Doskonałe, pełne życia i ekspresji portrety. Bardzo ciekawe i wartościowe zdjęcia z ekspedycji na Pamir, — obok miękkich, subtelnych pejzaży, w których wyczuwa się silny wpływ przedrewolucyjnego malarstwa rosyjskiego.

Niemniej ciekawą jest i technika wykonania. Wszystkie zdjęcia powiększone do olrzymich wymiarów rzadko spotykanych na naszych wystawach, wypadły doskonale, świadczą o zupełnem opanowaniu techniki bromo - srebrowej. Doskonałe operowanie kontrastami światła i cieni, przy umiejętności wydobycia całej głębi i soczystości cieni.

Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że pokazane nam eksponaty, to materjał starannie i troskliwie selekcjonowany, że pokazano nam tylko to, co uważano za stosowne pokazać.

Ale zarówno ilość eksponatów jak i poważna ilość autorów dowodzi, że jednak sztuka fotograficzna w dzisiejszych Sowietach jest należycie oceniana i rozumiana, — że na tem polu dzisiejsza Rosja dotrzymuje kroku innym krajom i narodom. (r.)

U podstaw kultury współczesnej

Jesteśmy obecnie świadkami olbrzymiego rozwoju wiedzy i techniki. Zjawiska zakrojonego na tak szeroką skalę nie obserwowano dotąd w żadnem stuleciu, w ciągu długich wieków trwania ludzkości na ziemi. Ta zawrotna wprost fala postępu i pogoni za czemś nowem, zda się przybierać z roku na rok, ba, niemal z dnia na dzień. Rozumując naszemi kategorjami myślowemi wyobrażamy sobie, że nigdy końca nie będzie temu olbrzymiemu prądowi, co chybkim nurtem mknie w dal nieznaną, zataczając równocześnie coraz to szersze kręgi. Ten olbrzymi postęp, człowiek zawdzięcza niezawodnie zdolnościom duchowym, wśród których umiejętność analizy zjawisk i kojarzenie faktów — najpoczesniejszą odgrywa rolę.

Ale jeszcze jedna ciekawa cecha umysłu wybitnie na tem zaważyła, a jest nią skłonność do syntezy, niejako odwrotny proces do wymienionego na pierwszem miejscu. Synteza zaś rozlicznych dyscyplin naukowych doprowadziła do jednolitego ujmowania całej naszej wiedzy, a nawet i kultury, którą właściwie w całej pełni zrozumieć można dopiero w takiem oświetleniu. Rekonstruktywne cofanie się wstecz przy badaniu rozwoju naszej wiedzy i kultury



W drodze na Pamir

doprowadza do jej zamierzchłych czasów i im właściwych pierwocin. Równocześnie jednak, badając naszą współczesność we wszystkich jej warstwach i odmianach, stwierdzamy daleko idącą równoległość (paralelizm) miedzy pierwotną ogólną kulturą, a współczesną ludową.

Widzimy bowiem jasno, że chcąc poznać podstawy, na jakich wyrosła kultura współczesna, niezbędnem jest — między innemi — poznanie kultury ludowej poszczególnych plemion czy narodów. Nawet w dzisiejszym — zdawaćby się mogło internacjonalnym — potężnym rozwoju nauki i wiedzy, pierwiastki indywidualizmu narodowego są w całej pełni zaznaczone. Podkreślić również trzeba, że indywidualizacja wzrastała w miarę postępu kultury, tak więc cofając się w kierunku prymitywów, możemy stwierdzić większy zasięg tych samych składników, które tworzą kulturę danego narodu, czy szczepu plemiennego.

Musimy też uwzględnić, że materjał ilustrujący kulturę ludową, jakkolwiek nierównie obfitszy od zabytków prehistorycznych, z dniem każdym ulega coraz to silniejszemu zmniejszeniu, tak, że zgromadzenie jak największej ilości danych co do kultury ludowej jest niemal nakazem chwili.

Z wielką tedy radością należy powitać ukazanie się olbrzymiego dzieła Kazimierza Moszyńskiego: „Kultura ludowa Słowian" nakładem Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie, z zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej. Część pierwsza tego dzieła traktuje o „Kulturze materjalnej", druga zaś o „Kulturze duchowej".

Właśnie leży przedemną pierwszy zeszyt drugiej części. Muszę przyznać że nazwa „zeszyt" zastosowana do tego wydawnictwa, jest czemś zgoła odmiennem, niżby się można spodziewać. Zamiast bowiem oczekiwanych paru składek druku, mamy duży tom, liczący przeszło 720 stron tekstu. Treściowo uwzględnione są w nim dwa działy: I. Wiedza, w skład którego wchodzą następujące rozdziały: 1) Kosmografja i geografja, 2) Meteorologja, 3) Wiadomości o przyrodzie żywej, 4) Orjentacja w zjawiskach życia psychicznego, 5) Umiejętności matematyczne i miary, 6) Medycyna, oraz II. Życie religijne z rozdziałami następującemi: 7) Kult, 8) Magja, 9) Uprawianie ekstazy, 10) Wróżbiarstwo, i wreszcie 11) Wierzenia, obejmujące wielki zasięg wierzeń, od bezpośrednich zjawisk czy rzeczy, aż do demanologji ludowej i jej prymitywnej teologji.

Bogactwo treści tego pięknego dzieła — jest ogromne. A czytać je winni nietylko specjaliści czy fachowcy, ale również i ogół naszej polskiej inteligencji, która ocenia, lub interesuje się poruszanemi w niem zagadnieniami. Również należy podkreślić fakt, że dzieło to w konstrukcji swej zezwala na studiowanie oddzielne — a z korzyścią — poszczególnych rozdziałów, które mogą w danej chwili wzbudzić większe zainteresowanie, lub być potrzebne. Kilkanaście rycin doskonale ilustruje treść.

Papier i strona graficzna bez zarzutu. Dobór kilku wielkości czcionek zwiększa przejrzystość tekstu, czem w wielkiej mierze ułatwia studjowanie.

Książka — mimo ściśle naukowego ujęcia — jest pisana pięknie i ciekawie, tak, że miejscami czyta się ją niemal jak powieść. Winniśmy się cieszyć, iż polska naukowa literatura zyskała znów jedno piękne dzieło.

IRENA NAŁĘCZ.

Niemcy anektują Chrystusa

W Niemczech wyszła niedawno broszura Amsykte, która twierdzi, że Hitler zwyciężył w r. 1933, ponieważ upłynęło w tym roku równo 1900 lat od ofiary krzyżowej. Dlaczego miał istniec związek między temi dwoma wypadkami, zrozumiemy, przeczytawszy wywody autorki na temat pochodzenia Zbawiciela.

Jezus — mówi ona — pochodził z pogańskiej Galilei, której mieszkańcy mieli być spokrewnieni z wojskowymi kolonistami narodowości gallickiej, osadzonymi przez Rzymian ok. r. 140 przed Chrystusem na wschodzie Palestyny, aby bronili jej przed niesfornymi sąsiadami. W owym czasie Gall znaczyło to samo, co Germanin, a zatem widzimy jasno, że Jezus miał krew germańską w żyłach.

SWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

„Demi - saison", najlepsze określenie tego sezonu przejściowego od lata do zimy, kiedy to moda nie zdążyła się jeszcze skrystalizować. — Niby troskliwy lekarz aplikuje nam ostrożnie, po łyżeczce, coraz to nowe dawki, stara się odzwyczaić nas od niejednego, bez czego do niedawna jeszcze trudno nam się było obejść.

Więc moda jesienna, choć na oko nie wiele się różni w ogólnych zarysach od mody dotychczasowej, przynosi jednak w szczegółach pewne charakterystyczne zmiany.

Hasłem jej jest i nadal uwydatnianie „linji", przy pełnem poszanowaniu naturalnych proporcyj ciała kobiecego.

— Sylwetka wydłuża się nieco, — ale nabiera „formy". Suknie obcisłe, ale biodra wyraźniej zaokrąglone. Biust nieco obfitszy, ale ramiona odzyskują swą naturalną, wdzięczną linję.

Ze wszystkich tych pozornych sprzeczności rodzi się moda zimowa. — podkreślając jeszcze silniej, niż dotychczas, cały urok prawdziwej kobiecości.

— Jedyny wyjątek stanowią kostjumy sportowe i podróżne, luźne, wygodne w noszeniu.

— Prym wiodą kostjumy „tailleur" z krótkiemi żakiecikami, obcisłemi w pasie, lub przepasanemi paskiem. Nowością są żakiety z baskiną futrzaną, odpowiednie tylko dla kobiet smukłych i wysokich.

— Paski, z przodu bardzo szerokie (15—20 ctm.), zwężające się do tyłu bardzo znacznie. Przeważają skórzane.

— Nowością są małe metalowe łańcuszki przymocowane w pasie, a służące do zawieszania na nich rękawiczek, z któremi nieraz nie wiemy co zrobić.

— Żaboty, krawatki i wielkie sztywne plastrony stanowią przybranie każdej strojniejszej sukni.

— Tuniki obramowane u dołu krótkiem futerkiem.

— Rękawiczki skórkowe, długie, z tego samego materjału co pasek.

— Do sukien wieczorowych naszyjniki z lśniącego kryształu; uzupełniają je duże kule kryształowe przyczepione cieniutkim łańcuszkiem do klipsów, jako kolczyki.

— Zaczynają już wracać sztuczne kwiaty: przedewszystkiem bukieciki fiołków, zatknięte za pasek lub przypięte do gorsu.

— Na suknie i kostjumy główne materjały wełniane w duże kraty; widzi się również suknie z wełnianego trykotu z wysokim kołnierzem, ozdobione licznemi guziczkami.

— Brokat i lama znajduje duże zastosowanie w kasakach, noszonych chętnie do sukien wieczorowych.



Piękny komplet na okres przejściowy

Po letnich wywczasach

Mija okres wypoczynków, kiedy zazwyczaj zbliżone do natury, nie chcemy nawet myśleć o naszym zewnętrznym wyglądzie. Rozleniwione — tak dobrze czułyśmy się w przewiewnych szatach i bez jakiegokolwiek upiększenia. Cera nasza w czasie lata wskutek zaniedbania, czy też nieumiejętnego pielęgnowania — zgrubiała, zrobiła się mało elastyczna, błyszczy się, pokryta jest piegami, plamami, wreszcie zanieczyszczona wągrami itp. Wszystko to musi być teraz naprawione, aby nie budziło odrazy u ludzi, z którymi się spotykamy. Niedokładności te temwięcej się uwypuklają, im wykwintniejsze mamy ubranie, bo zniewala ono do zwrócenia uwagi na każdy szczegół. Przy takiej analizie twarz nasza poddana będzie również ostrej krytyce, a wówczas cały nasz wysiłek, zmierzający do tego, aby zaprezentować się jak najlepiej, spali jak to się mówi, na panewce.

Z estetycznego punktu widzenia, najpilniejszą potrzebą będzie doprowadzenie naszej cery do należytego stanu ale nie zapomocą różu i pudru, które w każdej chwili mogą zdradzić te niedokładności cery, ale drogą właściwych zabiegów kosmetycznych i odpowiedniemi preparatami.

Cery tłuste, na które słońce wywiera nagół wpływ dodatni, niewiele będą miały do zrobienia, gdyż po kilku oczyszczeniach, a później już tylko właściwej pielęgnacji, cera powinna się utrzymywać w stanie normalnym, to jest dobrym.

Znacznie gorzej sprawa przedstawia się u kobiet z cerą suchą. Zaniedbana wciągu lata i poddawana pod działanie promieni słonecznych, straciła skóra znaczną część podściółki tłuszczowej. Rezultat tego jest taki, że u pań stosunkowo jeszcze młodych zarysować się musiały sieci drobniutkich, mało jeszcze widocznych zmarszczek, a u starszych pań, względnie o słabszym organizmie — istniejące już zmarszczki mocno się pogłębiły. Trzeba więc odpo-

Suszenie jarzyn

Myślaś o przechowaniu jarzyn na zimę powinny przedewszystkiem panie mieszkające na wsi lub na prowincji w małych miasteczkach, gdzie przez długi okres zimowy niema możności nabycia świeżych jarzyn ani warzywa. Suszyć i konserwować należy nietylko w jesieni, ale poczynając od wczesnego lata, bowiem młode jarzynki są najbardziej aromatyczne. W mieście rzadko się opłaca robić większe zapasy konserwowanych jarzyn, trudno tu o zakupy tańsze, z pierwszej ręki, ze źródła; gosposie więc nieraz tracą czas i pieniądze na robienie dużej ilości zapasów, których część się zmarnuje często, a które taniej wypadło kupić w zimie gotowe.

Ale na wsi i w małem miasteczku sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej. Na zimę pozostają tylko: kartofle, buraki, marchew, kapusta i kwaszone ogórki. Tu każdy strączek fasoli czy groszku, każda róża, kalafioru, dorodne pomidory są pożądanem urozmaiceniem jednostajnego menu, a w razie niespodzianych gości, niema sposobu posłać gdziekolwiek dalej po zakupy upragnionych jarzynek, staje się wprost błogosławieństwem. To też zapobiegliwa pani domu przez sezon cały gromadzi skrzętnie zapasy, by starczyło do nowego. Niestety nie wszędzie są inspekty, na to „nowe" długo nieraz czekać wypada.

Jarzyny przechowuje się w stanie świeżym w piwnicy, ale już zaraz po Nowym Roku nabierają ziemistego zapachu i tracą aromat. Małym kosztem można sobie zrobić mieszankę jarzynową na smak do zup, do sosów, do pieczeni itp. Mieszankę tę opłaci się zrobić nawet w mieście, biorąc do suszenia pozostałe po użyciu, albowiem pęczki tzw. włoszczyzny są zwykle za duże na jednorazowy użytek, a pozostawione do dnia następnego więdną.

Należy je dokładnie pokrajać, rozłożyć na czystym papierze i położyć na słonecznem oknie lub na blasze po obiedzie. Systematycznie zabieg ten powtarzając, dojdziemy do zapasu suszonej włoszczyzny bez specjalnych kosztów i fatygi.



Przybrania futrzane

Więdnące, żółte liście kasztanów przypominają nam, że zima zbliża się nieubłaganie.

Zanim wydobędziemy ze szaf nasze futra, — trzeba już obecnie pomyśleć poważnie o naszej garderobie jesiennej, w której również futro grać będzie w tym sezonie bardzo ważną rolę. Narazie nietyle jeszcze dla ochrony przed zimnem, ile raczej jako eleganckie, strojne przybranie, jako upiększenie całej sylwetki kobiecej.

Przybiera się futerkiem kołnierz, rękawy, mankiety, — w tysiącznych kombinacjach i odmianach. Widzimy więc kołnierze wysokie z futer o puszystym, długim włosie; kołnierze niskie, wiązane z przodu jak krawatka; wielkie kokardy futrzane, zdobne w kilka dużych drewnianych guzików; wreszcie duże, luźne kołnierze we formie kapuzy.

Manszety przybrane tem samem futerkiem o krótkim włosie, co kołnierz. Bardzo efektownie i oryginalnie wygląda szeroki pas futrzany naszyty na rękawie w sposób podany na rysunku, tworząc coś w rodzaju „cape".

Co do kolorów — zupełna dowolność Kiedy w jednym wypadku przybranie harmonizuje z kolorem płaszcza, — w innych osiąga się równie ładne efekty przez odpowiednie, gustowne skontrastowanie.

Jakie futerka są „modne", — na to niepodobna odpowiedzieć: lisy, karakuły, baranki, nutrie, wydry, — nawet dobre imitacje, aż do poczciwych królików... Zależy to od gustu i od... kieszeni. Ale bez przybrania futrzanego elegancki kostjum czy płaszcz jesienny jest prawie nie do pomyślenia.





Poradnik dla gosposi

Ogórki nadziewane mięsem do rosołu

Cztery świeże, ładne ogórki obrać, rozciąć wpoprzek na połowy, wydrążyć ze środka ziarna i troszkę nasolić. Gdy sól wyciągnie wodę wytrzeć ogórki i nadziać farszem z mięsa. Nadzienie przyrządzić w sposób następujący: posiekać drobniutko mięso rosołowe dodać trochę tartej bułeczki, posiekanej cebuli, pieprzu, soli, wbić jedno jajko i doskonale wymieszać.

Nadziane ogórki włożyć do rondla, podlać rosołem i gotować aż będą miękkie. Poczem pokrajać w krążki i podać do rosołu.

Konfitury ze śliwek

Czysto umyte i wysuszone śliwki przekrawać wzdłuż na połowy i wyjmować pestki. Następnie wrzucić na wrzący syrop, gotować 10 minut, po kilku godzinach znów kilka razy zagotować, odstawić w chłodne miejsce, potrząsać często rondlem i zimne już przekładać do słojów i zawiązać szczelnie pergaminowym papierem.

Marmolada śliwkowo-jabłkowa

Ugotować 1 i pół kilo śliwek wydrążonych z pestek; osobno ugotować z małą ilością wody 1 i pół kg obranych z łupin jabłek i drobno poszatkowanych. Gdy owoce miękkie przetrzeć przez sito, dodać 1 kg. cukru i smażyć wolno w kamiennem naczyniu, mieszając często, aby marmolada się nie przypaliła. Powinna ona mieć kolor ciemno - czerwony, ale nie bronzowy. Gdy odpowiednio gęsta, przełożyć gorącą do słojów.

Pomidory nadziewane jajami

Szesnaście ładnych, niezbyt dużych pomidorów obmyć w zimnej wodzie ściąć wierzchy, wybrać ziarna i żółtawy płyn. Oddzielnie pokroić w drobną kostkę 6 dkg. wędzonki, napół optopić na patelni, wlać rozkłócone sześć jaj z 1/2 szklanki mleka, dodać trochę szczypiorku, popieprzyć, posolić, zrobić wolną jajecznicę, nakładać w wydrążone pomidory, przykryć ściętemi wierzchami, ułożyć na patelni posmarowanej masłem, po wierzchu dobrze skropić masłem i zapiec 10 — 15 minut w piecu.